Pismo Ziemi Warmińsko-Mazurskiej

ŻYCIE OLSZTYŃSKIE

Nr 92 B 17—19 KWIETNIA 1954 ROKU CENA 30 gr

Serce Warszawy

ZAPYTAJ dziś kogokolwiek w Warszawie, gdzie jest centrum miasta — nieodmiennie wskaże Ci górujący nad stolicą Pałac Kultury i Nauki, na pewno odpowie: Marszałkowska. Aleje...

A przecież tak jeszcze niedawno, przed „zaledwie" 200 laty była w tym miejscu tylko pusta i podmokła łąka.

Trudno wprost uwierzyć, że tu, gdzie dziś zakręcają „dziesiątki" i „trzydziestki" — przez rozlewiska wiodła grobla, że obecna Marszałkowska była ongiś wąziutką, polną dróżką.

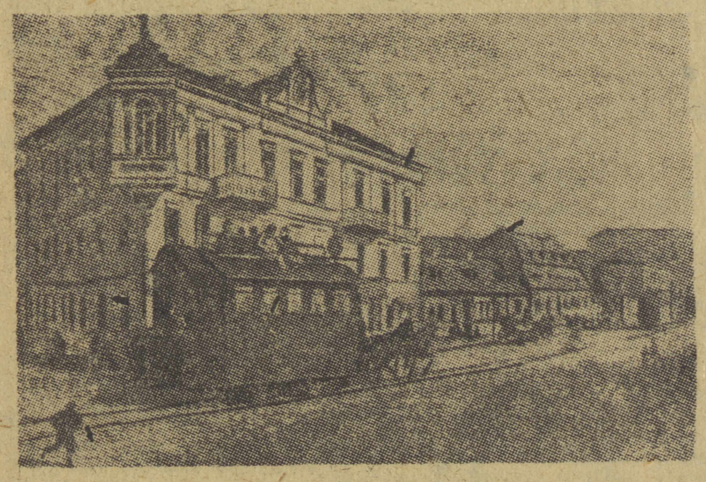

1867 r.

1939 r.

1944 r.

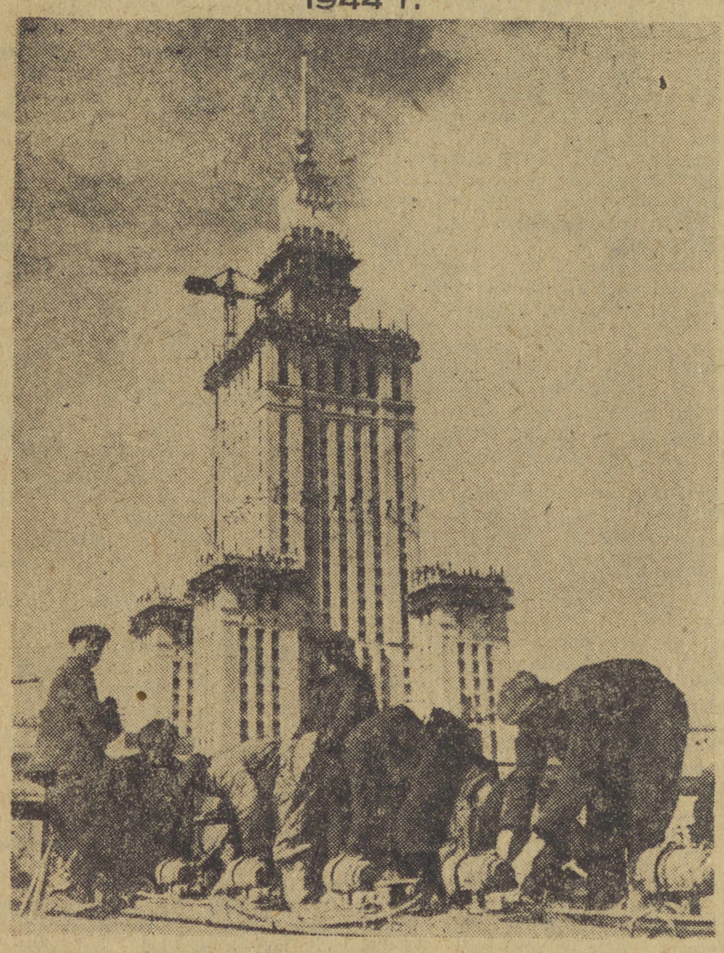

1954 r.

Serce miasta biło wtedy wśród kamieniczek staromiejskiego Rynku A tutaj, w dziesiejszym centrum: przez Żurawią płynęła rzeczka, przy Brackiej, Zgoda i Szpitalnej sterczały tyki folwarcznego chmielu... Miasto Warszawa kończyło się w tym czasie przy Krakowskim Przedmieściu.

Sejmy, zjazdy i wreszcie przeniesienie stolicy z Krakowa do Warszawy — to wszystko wpłynęło na... coraz większy brak miejsca między staromiejskimi, obronnymi murami. Prysła w końcu klamra zamykająca gród. Nowe budynki stawały w jurydykach na Krakowskim, Mariensztacie, na Ordynackim, przy Królewskiej. Zabudowa doszła w końcu i do Marszałkowskiej. Powoli zaczynało tutaj przenosić się „towarzystwo". Stawały dworki i pałacyki. Przez poszerzoną, dawną polną drogę przejeżdżały pańskie karoce i powozy, brnąc w łąkowych rozlewiskach i błocie. Nieraz i para koni nie starczała, by wydobyć „zatopiony" pojazd.

Gospodarz i właściciel jurydyki Bielino, na gruntach której wyrastało nowe centrum Warszawy, Marszałek Franciszek Bieliński, w czasie swego urzędowania, zajął się uporządkowaniem miasta — i między innymi sprawą ulic. Z jego inicjatywy w drugiej połowie XVIII wieku ułożono pierwsze bruki. Marszałkowska stawała się coraz bardziej miejska — coraz mniej zostawało w jej sąsiedztwie wolnych pól i łąk.

Na tych marszałkowskich brukach pojechał przed niemal stu laty pierwszy konny tramwaj. Stały tam już wtedy „nawet" i trzypiętrowe kamienice... Na rysunku wykonanym w owym czasie przez artystę Gersona niełatwo można poznać dzisiejszą Marszałkowską... Budynek za tramwajem stał wtedy przy rogu Świętokrzyskiej...

Miejsca dworków i pałacyków z biegiem lat, w miarę tego, jak brakowało wolnego miejsca na nowe budynki w śródmieściu, zajmowały czynszowe kamienice, fabryki. Przy Marszałkowskiej, Alejach, Złotej i Chmielnej rósł warszawski kapitalizm. Postawiony w sercu miasta dworzec „żelaznej kolei", jak się to wtedy mówiło, jeszcze bardziej ożywił tę dzielnicę. Jeszcze bardziej wzrosło jej znaczenie. Jeszcze lepsze robiło się tu interesy.

Od frontu stawały wysokie domy. Z każdego metra kwadratowego mieszkań, od sutereny do poddasza płynęły dochody do kieszeni kamieniczników. Na przodzie budynków — blichtr i fałszowana pozłota. Malowane tynki udawały granit i marmur, odlewane rzeźby — zastąpić musiały dzieła artystów. A od tyłu, od oficyn „reprezentacyjnych" ulic — obskurne, ciemne izby. Malutkie podwórka okolone murami — mieszkania bez światła i słońca.

Na zdjęciu tej niedawnej, przedwojennej Marszałkowskiej — nie widać dusznych mieszkań, nie widać butwiejących, drewnianych stropów dochodowych kamienic. Pyszniła się ta ulica kapitalistycznego centrum swymi ogromnymi domami, gwarnymi sklepami i restauracjami. Podwórka i oficyny dyskretnie zasłaniano przed okiem przechodniów...

Wiele jest rozdziałów w historii warszawskiego centrum. Lata 1939—1945 zapisały swe karty ruinami i zgliszczami. Spłonęła stara Świętokrzyska, Królewska; zburzono Marszałkowską, Aleje, Wspólną. Wystarczy palców u obu rąk, by zliczyć domy Marszałkowskiej, które z wojennej nawałnicy wyszły z małymi tylko szczerbami. Dwukrotnie niszczono śródmieście — bomby i artyleryjskie działa druzgotały je w 1939 roku, czołgi i miotacze płomieni, kierowane „fachowymi" rękami hitlerowskich wandali w 1944 roku w kilkanaście dni zmieniły żywą ulicę w martwe ruiny.

4 miliony metrów sześciennych gruzu, setki wypalonych budynków — oto pozycja otwierająca bilans nowego śródmieścia.

Najpierw były parterowe sklepiki — budyneczki, które imitowały ulicę. W rozbitym tramwajowym wozie na Marszałkowskiej jadło się zupę...

Na tysiące liczyć już można lokatorów nowego, dzisiejszego śródmieścia. Dziesiątki bloków MDM zmieniły oblicze miasta. Patrząc na nie — chyba każdy przyzna, że inne, o ileż lepsze jest dziś nowe śródmieście naszej stolicy. Nie ma tu suteren i poddaszy, niema tandetnego blichtru. Dziś nie pieniądz jest kluczem do śródmiejskich mieszkań... Dawny bezrobotny — to dziś przodownik pracy z MDM; dawny eksmitowany z Marszałkowskiej — to dziś jej budowniczy.

Pod warszawskie niebo wyrósł 44 piętrami piękny Pałac Kultury i Nauki. Radzieccy robotnicy prowadzą już prace wykończeniowe — za piętnaście miesięcy Pałac będzie gotów...

W jego sąsiedztwie — przy Marszałkowskiej, Świętokrzyskiej, Alejach powstaje nowe centrum Warszawy. W miejscu, gdzie przed dwustu laty końmi wyciągano „zatopione" pańskie powozy — teraz powstaje wielki, największy w Europie plac — plac Józefa Stalina. Przy nim, przy nowej Marszałkowskiej, przy nowej Świętokrzyskiej — w otoczeniu parkowej zieleni, dźwigną się następne domy dla następnych tysięcy lokatorów.

Setki najlepszych robotników budowlanych Warszawy pracuje teraz przy Placu Stalina. Dostali najnowocześniejszy sprzęt — żeby im łatwiej, szybciej i lepiej szły prace. Maszyny wyręczają ludzi — dla których powstaje nowe śródmieście...

Projektanci jeszcze nie mogą się ostatecznie zdecydować, jakie ono będzie. Jeszcze poprawiają, jeszcze pytają — może coś zmienić, uzupełnić. Nowe centrum, serce socjalistycznej Warszawy, musi być piękne i wygodne.

Chcemy tego wszyscy — będziemy przecież jego gospodarzami...

(dar)

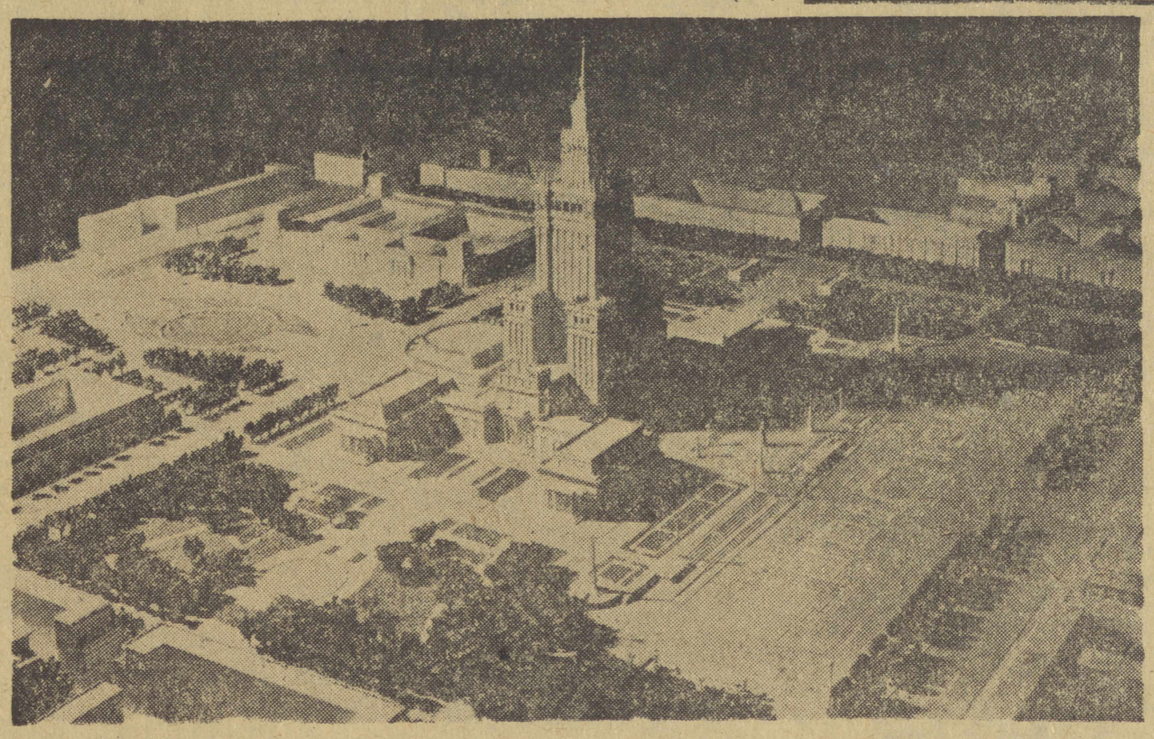

1960 r.

Żółty skarb

(Od naszego specjalnego wysłannika)

W końcu ubiegłego roku, po długoletnich badaniach, grupa geologów z Instytutu Geologicznego pod kierownictwem dr. Pawłowskiego przy wydatnej współpracy mgr. Wyczółkowskiego i ob. Maszońskiego natrafiła na bogate złoża rodzimej siarki.

Dotychczasowe wiercenia badawcze wykazały, że odkryte zasoby siarki stawiają Polskę na pierwszym miejscu w Europie. Pokłady nasze są bogatsze od słynnych złóż sycylijskiech i hiszpańskich. Obecnie prowadzone są prace zmierzające do dalszego rozpoznania odkrytych złóż.

Siarkę stosuje się niemal we wszystkich gałęziach naszej gospodarki. Używa się jej do produkcji kwasu siarkowego, podstawy przemysłu włókien sztucznych, nawozów fosforowych, np superfosfatu; w przemyśle farmaceutycznym, w przemyśle tłuszczowym do rafinacji tłuszczów technicznych oraz produktów naftowych. W metalurgii kwasem siarkowym trawi się blachę. Potrzebuje go przemysł koksochemiczny, chłodnictwo itp. Nie ma wprost procesów przemysłowych gdzieby nie używano produktów siarkowych.

Rozmiary produkcji kwasu siarkowego są przyjmowane jako wskaźnik wielkości przemysłu chemicznego.

Najstarszym i najłatwiejszym sposobem otrzymywania kwasu siarkowego jest spalanie siarki rodzimej. Od 1840 r. jako surowca w tym celu rozpoczęto używać pirytów. Ostatnio zaś opanowano technologię uzyskiwania siarki z rozkładu siarczanów, w szczególności siarczanów wapnia (gipsów, anhydrytów), co wymaga dużych nakładów i skomplikowanych urządzeń.

Dość znaczną ilość siarki uzyskuje się również przez oczyszczanie gazów, przy rafinacji nafty itp.

Światowa produkcja siarki (rodzimej i związanej) osiąga ostatnio 12 milionów ton rocznie, w tym:

6,3 mln. ton siarki rodzimej,
4,8 „ „ „ z pirytów,
0,9 „ „ „ z rud metali, eksplotacji gazów, rafinerii ropy.

Lata 1951 i 1952 charakteryzowały się kryzysem na światowym rynku siarki. Międzynarodowa konferencja określiła niedobór w podaży siarki w krajach kapitalistycznych w r. 1951 na ponad 1 milion ton.

Eksploatacja nowoodkrytych złóż siarki rodzimej w Polsce ma rozpocząć się już w 1955 roku. Jest to tym ważniejsze, iż dotąd mieliśmy jedynie skąpe zasoby siarki.

Bogate złoża zaspokoją całkowicie nasze potrzeby krajowe i pozwolą nadto — w miarę rozwoju ich eksploatacji — na znaczny eksport nadwyżek tego surowca.

Wielkie to odkrycie — nowy krok w tworzeniu naszego dobrobytu narodowego — jest wspaniałym sukcesem polskiej geologii.

Uskrobiesz paznokciem — nie większe to od płatka róży. Bladozłotawe i pachnące. Sypkie i czyste. Okruszyny w grudzie twardego wapienia. Okruszyny — a taki skarb. Każdy Polak może rzec drugiemu: — jesteśmy bogatsi — mamy siarkę, o jakiej ludziom się nie śniło. Nikt jej nam nie wydrze. Rodzimą siarkę.

Któż by pomyślał, co ziemia ta kryje. Dotąd bogactwem jej były pochyłe od ziarna pszeniczne kłosy. Czasem tylko, gdy czerpano wodę ze studni zaleciało zgniłymi jajami. Może poróżniony sąsiad zapaskudził wodę? Diabli wiedzą. W chałupach o tym nie mówiono. Stare kobiety wolały opowiadać, jak to czarne hrabiowskie karety kurzyły gościńcami. Opowiadały o złotym pieniążku rzuconym łaskawie, co to ręce parzył, o pysznych balach podpatrzonych zza pałacowych sztachet. Na studnię najwyżej wyklinano, łamiąc ręce na dopust. A ziemia czekała milcząca...

Czekała na swoich odkrywców. Obszarami tymi geologowie zajmowali się od dawna. Przez lata zbierali obserwacje i robili pomiary geofizyczne. W miarę ich gromadzenia umacniali się w przekonaniu, że tam należy zlokalizować wiercenia geologiczno-poszukiwawcze. Na próżno jednak snuto rozległe plany. Przed wojną brakło środków na poważniejsze prace, szczególnie zaś na wiercenia. Środki te obecnie się znalazły i właśnie za to wielka wdzięczność ludowej władzy. Nadszedł czas, gdy marzenia geologów mogły stać się rzeczywistością. I nadeszła nagroda — rzeczywistość przerosła najśmielsze marzenia.

Dni decydują o latach

Geologowie oszczędzają słów. Lecz można pojąć, ile zwątpień i wahań musieli zwalczyć, nim wskazali pierwsze miejsca wierceń. Nieraz już ziemia płatała im gorzkie figle. Nieraz mamiła ich złudzeniami. Może dlatego geologowie mało mówią, może dlatego są skromni, onieśmielająco i pięknie skromni.

Przypominam sobie rozmowę z dr Pawłowskim, głównym autorem odkrycia i niezmordowanym wieloletnim badaczem tych ziem. Mówił on o wspólnym wysiłku geologów i niezmiernym poświęceniu wiertaczy, lecz słowem nie napomknął o swoim udziale w odkryciu. Z uporem powracał do słów: to uczynił zespół.

Dobiegał końca rok 1953. Wiercono. Geologowie mieli się przekonać czy ich przypuszczenia się spełnią, czy będzie siarka i to w takiej ilości, by warto ją wydobywać. Mieli się przekonać — w ciągu najbliższych tygodni, a nawet dni — co da ich trud, czy nie będzie czasem daremny. Na wyniki czekali także przedstawiciele Centralnego Urzędu Geologii i kierownictwo naszego przemysłu chemicznego. Łączono przecież z wierceniami wielkie nadzieje. Siarka — dla chemii — to surowiec cenniejszy od złota. Dni te miały rozstrzygnąć o latach przyszłych. Chwile takie rzadko ludziom są dane.

Znak złoża

Napięcie opanowało również i robotników — załogę pierwszego aparatu wiertniczego UKB-6. Bo jakżeż inaczej wytłumaczyć fakt, że wiercili oni dwa i pół raza szybciej niż przewidywano. Darli się w ziemię, choć po twarzach siekł jesienny ostry deszcz, choć grabiały gołe ręce. Cóż nie dawało wam spocząć, jaka siła przykuwała was do placyku rozdeptanego błota z wieżą wiertniczą po środku; przecież nikt was nie naglił, czyżbyście z inżynierskich twarzy aż tyle potrafili wyczytać?

Twarde, żylaste chłopy — Krężałek, Niepokój, Kochan — wy pierwsi wyciągnęliście ręce po szare bryłki wapienia, przetkane złotawymi żyłkami rodzimej siarki. Wy — jak symbol swej klasy— która bogactwa narodu daje narodowi.

Pewnie z zimna drżały wam ręce, gdyście opukiwali wyciągniętą z ziemi koronkę wiertniczą, gdyście układali w długiej skrzynce rdzeń — pierwszy znak złoża. Nie znaliście jeszcze jego wartości, może nigdy nawet nie widzieliście jej na oczy. Inżynierowie wyliczali bogactwo. Na polu przy otworze wiertniczym był tylko lodowaty deszcz, noce przytłoczone chmurami i kubek gorącej kawy przy suchych wargach.

Ludzie wyciosani z kamienia

Krople za oknem tykały równo jak zegar. Potem przyszła zima — mrozy pod 30°. Wiercono bez przerwy nawet przy zamarzającej płuczce. Chodziło o określenie grubości i wielkości złoża. Geologowie i wiertacze obiecali uczynić to na II Zjazd Partii. Nie łatwo dowiedzieć się od nich jak wtedy było. Ludzie ci są chyba ulepieni z kamienia. Siedzę z Romanem Kernerem, zastępcą kierownika robót, w zabłoconej chłopskiej izbie. Twarz jego — jakby wycięta z suchego, ciemnego drzewa. Grube bruzdy koło ust. Kraciasta koszula szczelnie zapięta pod szyję. Czy nie o podobnych ludziach opowiadał London?

— A więc zima, pytacie — schylił się nad stołem, opierając głowę na rękach, płomyk naftówki drżał za szkiełkiem — postawiliśmy kosownіki, lecz co one tam pomogły na polu, w twarz parzyło, a za uszy trzymał mróz. Najgorzej z rękami. Ludzie ciągle grzebią się w błocie. W kubłach mieliśmy gorącą wodę. Pomagało. Ale jak który zapomniał się i bez rękawicy chwycił za żelazo, to zaraz

JERZY JARUZELSKI

(Dokończenie na str. 2)

CZYTELNIKOM, KORESPONDENTOM I PRZYJACIOŁOM NASZEGO PISMA SKŁADAMY SERDECZNE ŻYCZENIA MIŁEGO WYPOCZYNKU I WESOŁYCH ŚWIĄT

REDAKCJA

Prototyp polskiego kombajnu zbożowego

15 bm. załoga Fabryki Maszyn Żniwnych im. M. Nowotki w Płocku zakończyła budowę i montaż prototypu samobieżnego kombajnu zbożowego, którego konstrukcja oparta została na radzieckiej dokumentacji technicznej.

W ten sposób załoga FMŻ zrealizowała jedno ze swych zobowiązań dla uczczenia 1 Maja.

Delegacja związkowców polskich na uroczystości 1-majowe w ZSRR

15 bm. opuściła Warszawę, udając się na zaproszenie WCSPS do Moskwy, delegacja polskich związkowców, która weźmie udział w uroczystościach 1-majowych.

W skład delegacji wchodzą: sekretarz CRZZ S. Stachacz — przewodniczący delegacji, A. Guła — traktorzystka z POM w Grodkowie, woj. opolskie, B. Koloch — przodujący górnik z kopalni „Polska", L. Pietraszkiewicz — aktor Teatru Polskiego, wiceprzewodniczący ZG Zw. Zaw. Prac. Kultury, Z. Piś — zastępca red. naczelnego „Sztandaru Młodych" oraz W. Sygdziak — prządka z ZPB im. Marchlewskiego w Łodzi.

Udostępnić ludziom pracy miast i wsi wartościową muzykę, teatr, film i książkę

Zobowiązania 1-majowe pracowników sztuki i kultury

Za przykładem klasy robotniczej pracownicy kultury i sztuki — artyści teatrów, oper, filharmonii, pracownicy muzeów, bibliotek i kin podejmują i realizują liczne zobowiązania dla uczczenia zbliżającego się Święta Pracy.

Różnorodne są formy tych zobowiązań, ale treść ich jest jedna: udostępnić jak najszerzej ludziom pracy miast i wsi wartościowe utwory sceniczne i dobrą muzykę, rozszerzyć zasięg oddziaływania poszczególnych placówek kulturalnych, usprawnić i podnieść na wyższy poziom ich pracę.

Artyści **Państwowej Filharmonii w Warszawie** utworzyli 5 specjalnych brygad solistów, które będą występować z koncertami w warszawskich szkołach, hotelach robotniczych i szpitalach. W skład tych brygad wchodzą najwybitniejsi muzycy Filharmonii Warszawskiej.

Jednocześnie Wielka i Mała Orkiestra Symfoniczna Filharmonii przygotowują dla świata pracy stolicy koncerty symfoniczne, z którymi wystąpią 1 Maja.

Pracownicy **Zarządu Okręgowego Kin w Krakowie** zorganizowali ekipy, które wyjeżdżać będą do wiejskich kin woj. krakowskiego, aby w myśl podjętych zobowiązań 1-majowych doszkalać kinomechaników wiejskich oraz dopomagać im w usuwaniu różnych usterek technicznych w aparaturze projekcyjnej i dźwiękowej.

Jednocześnie pracownicy Zarządu Okręgowego Kin oddadzą 1 maja do użytku pięć ponadplanowych, stałych kin wiejskich.

Realizując zobowiązania 1-majowe, artystyczne ekipy łączności miasta ze wsią Państwowej Opery i Filharmonii Bałtyckiej z Gdańska, wyjeżdżają z programem muzycznym do najbardziej odległych wsi i miasteczek Wybrzeża.

Czynem 1-majowym zespołu technicznego **Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi** jest m. in.: przebudowa i dostosowanie do warunków sceny świetlicowej dekoracji do sztuki Gogola „Ożenek", ofiarowanych przez Teatr zespołowi dramatycznemu świetlicy w Wolborzu, pow. Piotrków. Jednocześnie artyści teatru zobowiązali się wyjechać z trzema ponadplanowymi przedstawieniami w teren woj. łódzkiego.

Do czynu 1-majowego włączyli się gremialnie pracownicy bibliotek **woj. szczecińskiego.** Pragnąc jeszcze bardziej upowszechnić czytelnictwo i dotrzeć z książką do najodleglejszych wsi, pracownicy bibliotek powiatowych woj. szczecińskiego przystąpili do organizowania 17 nowych punktów bibliotecznych w spółdzielniach produkcyjnych i gromadach oraz zobowiązali się otoczyć je opieką. M. inn. nowy punkt biblioteczny powstaje we wsi Rosowo, pow. Stargard, która dotychczas była jedyną wsią tego powiatu nie posiadającą biblioteki.

Pracownicy **Muzeum im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy** realizując zobowiązania 1-majowe, na trzy tygodnie przed zaplanowanym terminem przeprowadzili prace związane z reorganizacją działu archeologicznego muzeum. Opracowali oni nowe, uwzględniające ostatnie osiągnięcia nauki, tablice i plansze, obrazujące rozwój ludzkości na przestrzeni tysięcy lat. Nowoutworzone przez nich stoiska ukazują zwiedzającym stopniowy rozwój cywilizacji w epokach kamiennej i brązu zapoznają z kulturą łużycką, z życiem Słowian oraz z początkami państwa polskiego.

Wręczenie Stalinowskiej Nagrody Pokoju

szwedzkiej działaczce społecznej A. Andreen

MOSKWA (PAP). — 15 bm. odbyło się w sali Świerdłowskiej na Kremlu wręczenie Międzynarodowej Nagrody Stalinowskiej „Za utrwalanie pokoju między narodami", wybitnej szwedzkiej działaczce społecznej Andrei Andreen.

Przewodniczący Komitetu Międzynarodowych Nagród Stalinowskich „Za utrwalanie pokoju między narodami", członek Akademii Nauk ZSRR D. Skobielcyn złożył Andrei Andreen życzenia z okazji przyznania jej nagrody, po czym wręczył jej dyplom i złoty medal laureata Międzynarodowej Nagrody Stalinowskiej.

Z kolei przemówienie wygłosił przewodniczący Radzieckiego Komitetu Obrony Pokoju M. Tichonow. Laureatkę serdecznie powitali: w imieniu pracowników medycyny radziecki prof. Zacharowa, przedstawicielka Antyfaszystowskiego Komitetu Kobiet Radzieckich N. Popowa i inni.

Andrea Andreen wyraziła w swym przemówieniu głęboką wdzięczność za przyznanie jej zaszczytnej nagrody. Podkreślając olbrzymie znaczenie ruchu obrońców pokoju dla utrzymania pokoju na całym świecie i zacieśnienia przyjaźni między narodami, Andrea Andreen wyraziła przekonanie, że nadejdzie czas, kiedy wojna stanie się niemożliwa.

— Będzie to nowa epoka w historii ludzkości — podkreśliła Andreen. — Kontynuujmy więc walkę o pokój.

Spotkanie gości francuskich

z przedstawicielami Polskiego Komitetu dla pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego

15 bm. w godzinach rannych bawiąca w Polsce delegacja francuskich parlamentarzystów, działaczy politycznych i społecznych przybyła z Krakowa do Warszawy.

W stolicy członkowie delegacji spotkali się z przedstawicielami Polskiego Komitetu dla pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego, z członkami polsko - francuskiej grupy parlamentarnej oraz z przedstawicielami świata nauki i kultury.

W czasie spotkania przemawiali ze strony francuskiej: przewodniczący delegacji — Robert Monod, profesor wydziału medycznego w Paryżu, komandor Legii Honorowej, Henri Bouret, deputowany z dep. Cote du Nord (MRP) oraz Jean Geofrey, senator z dep. Vaucluse (socjalista), ze strony polskiej zaś: wicemarszałek Sejmu, przewodniczący Polskiego Komitetu dla pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego — prof. dr Stanisław Kulczyński, rektor SGPiS, przewodniczący komisji budżetowej Sejmu — prof. dr Oskar Lange oraz wiceprzewodniczący komisji spraw zagranicznych Sejmu Ostap Dłuski.

Goście francuscy mówiąc o tradycyjnej przyjaźni francusko-polskiej, podkreślali, że jest ona wypróbowana również we wspólnej walce przeciw militaryzmowi niemieckiemu, którego restytuowanie w Niemczech zach. stanowi niebezpieczeństwo dla sąsiadów Niemiec, dla narodów francuskiego i polskiego. Działacze francuscy wyrazali również uznanie dla osiągnięć uzyskanych przez naród polski w odbudowie i rozbudowie przemysłu oraz na polu kultury, mówiąc z zachwytem o pietyzmie, jakim otaczane są w Polsce zabytki kultury narodowej. Wyrażali oni przekonanie, że ich pobyt w Polsce przyczyni się do dalszego zacieśnienia przyjaźni między obu narodami, zapewniając, że po powrocie do swej ojczyzny działać będą na rzecz przyjaznych stosunków i zbliżenia między naszymi krajami, na rzecz rozszerzenia stosunków kulturalnych i handlowych.

Polscy uczestnicy spotkania zapewnili gości francuskich, że naród nasz ożywiają uczucia głębokiej przyjaźni dla narodu francuskiego. Wyrazili oni także podziw dla wzrastającej wciąż na sile walki, którą patrioci francuscy prowadzą przeciw remilitaryzacji Niemiec, przeciw układom z Bonn i Paryża.

Mówcy podkreślali pełną solidarność Polaków z tą walką.

W godzinach popołudniowych goście francuscy zwiedzili budowę Pałacu Kultury i Nauki im. J. Stalina, przyglądając się pracom prowadzonym przez załogę wznoszącą ten wspaniały gmach.

Wieczorem francuscy parlamentarzyści, działacze polityczni i społeczni obecni byli na przyjęciu wydanym z okazji ich pobytu w naszym kraju przez Polski Komitet dla pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego. W przyjęciu tym wzięli również udział posłowie na Sejm, działacze polityczni i społeczni naszego kraju oraz przedstawiciele świata nauki i kultury.

Dalsze usprawnienie produkcji — poprawa warunków bytowych

Nowe zakładowe umowy zbiorowe

skutecznym orężem w walce o realizację uchwał II Zjazdu

Ostatnio w szeregu większych zakładów przemysłowych podpisano między załogami a dyrekcjami zakładowe umowy zbiorowe.

Umowy te określające wzajemne zobowiązania załogi i kierownictwa zakładów zawarte zostały po wielotygodniowych przygotowaniach w których brała udział cała załoga; w grupach związkowych i oddziałach produkcyjnych odbyły się zebrania dyskusyjne, w czasie których członkowie załogi — po zapoznaniu się z wytycznymi planów produkcyjnych na r. b. składali wnioski, na podstawie których opracowano poszczególne postanowienia umowy.

W umowach załogi zobowiązują się do dalszego usprawnienia produkcji, kierownictwa zakładów zaś postanawiają zabezpieczyć robotnikom warunki wykonania planów oraz wykorzystać możliwości podniesienia warunków bytowych i kulturalnych załóg.

Pierwszą w zakładach przemysłu włókienniczego zakładową umowę zbiorową podpisali przedstawiciele załogi i dyrekcji. **ZPB im. Marchlewskiego** w Łodzi. W uroczystości udział wzięli wicemin. Przemysłu Lekkiego — Jóźwiak, kierownik wydz. Przemysłu Lekkiego KC PZPR — Marzec i przewodniczący ZG Zw. Zaw. Pracowników Przemysłu Włókienniczego — Krzywański.

W czasie uroczystości przedstawiciele załogi podkreślali, że umowa stanowi skuteczny oręż w walce o realizację uchwał II Zjazdu — o szybszy wzrost stopy życiowej najszerszych mas.

W opracowaniu umowy brali udział prawie wszyscy pracownicy zakładów składając w toku akcji przygotowawczej ponad tysiąc wniosków.

Włókniarze ZPB im. Marchlewskiego w myśl umowy wykonają roczny plan produkcji w 101,6 proc., zabezpieczając jednocześnie wyższą od planowanej jakość wyrobów.

Dyrekcja, poza przeprowadzeniem szeregu prac w dziedzinie BHP, poprawi wydatnie warunki socjalne całej załogi, a szczególnie kobiet.

Wiele uwagi poświęca nowa umowa zbiorowa **Zakładów im. Gen. Świerczewskiego** w Elblągu sprawom bytowym. Obok zobowiązań robotników wykonania z nadwyżką tegorocznego planu oraz dodatkowo — ok. 8 ton wyrobów codziennego użytku — ze strony kierownictwa umowa przewiduje oddanie robotnikom do końca br. 89 nowych izb mieszkalnych i 56 w stanie surowym. Z zakładach uruchomione zostaną bufety, punkt usługowy, stołówka w hotelu robotniczym oraz rozbudowane będzie ambulatorium zakładowe.

Umowa pomiędzy robotnikami a kierownictwem **Kieleckich Kamieniołomów Drogowych** w Małej Wiśniowce — pierwsza zawarta w resorcie Min. Transportu Drogowego i Lotniczego — przewiduje podobnie jak w innych zakładach, zwiększenie globalnej produkcji ilościowej i jakościowej. Zobowiązania podjęte w umowie przez kierownictwo tego zakładu przewidują m. in. wprowadzenie ulepszeń w zakresie BHP.

Obrady Sejmowej Komisji

Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej

Sejmowa Komisja Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, pod przewodnictwem posła J. Albrechta, rozpatrzyła na posiedzeniu 14 bm. następujące działy projektu budżetu na br.: budownictwo, inwestycje, gospodarka komunalna i mieszkaniowa. Sprawozdawcą był poseł Z. Moskwa. W dyskusji zabierali głos posłowie: I. Piwowarska, E. Furmaniak, B. Drobner, J. Horodecki, S. Tołwiński, J. Kiliś i J. Albrecht.

Omówiono m. in. zagadnienia związane z podniesieniem poziomu wykonawstwa robót w budownictwie, usuwaniem usterek oraz wzmożeniem oszczędności materiałów budowlanych. Posłowie zwrócili również uwagę na konieczność rozszerzenia zakresu remontów kapitalnych w celu uzyskania dodatkowej liczby mieszkań, a w szczególności na potrzebę szybszej odbudowy uszkodzonych budynków na Ziemiach Odzyskanych.

Przedmiotem dyskusji była również konieczność usprawnienia postępowania w sprawach kwaterunkowych oraz dalszej poprawy komunikacji miejskiej i lepszego oczyszczania miast.

Dulles napotkał silną opozycję w Londynie i Paryżu

wobec polityki gróźb przed konferencją genewską

Prasa dalekowschodnia przeciw próbom storpedowania obrad

NOWY JORK (PAP). — Jak wynika z doniesień prasy, komunikat o rokowaniach między Dullesem a Edenem, komentowany przez pewne dzienniki jako wyraz „identyczności celów" St. Zjednoczonych i W. Brytanii, świadczy w rzeczywistości o tym, że rozbieżności między tymi krajami co do problemów Dalekiego Wschodu nie zostały usunięte.

Londyński korespondent dziennika **„New York Times"** Middleton donosi o „poważnych różnicach" między angielską a amerykańską interpretacją wspólnego komunikatu Dullesa i Edena. „Delegacja amerykańska — pisze Middleton — uważa porozumienie osiągnięte w Londynie za konkretny krok na drodze do utworzenia sojuszu wojskowego w Azji południowo-wschodniej. Oficjalną interpretację amerykańską komunikatu trudno pogodzić z opinią rządu angielskiego wyrażoną przez Edena w Izbie Gmin". Jak wiadomo, min. Eden stwierdził, że osiągnięte porozumienie nie jest „wyraźnym zobowiązaniem podjęcia jakichś kroków w określonych warunkach". Zgodnie z interpretacją brytyjską — pisze Middleton — St. Zjednoczone i Anglia „powinny wyjaśnić stanowisko innych krajów zainteresowanych, zanim postanowią co należy dalej uczynić".

Nawiązując do rozmów Dullesa w Paryżu, Middleton pisze, że „starając się uzyskać zgodę Francji na przyjęcie planu amerykańskiego i brytyjskiego sekretarz stanu USA natrafia na jedną wyraźną trudność, a mianowicie na opozycję niektórych wpływowych grup rządu francuskiego przeciwko międzynarodowej interwencji w Indochinach".

„New York Times" zamieszcza również depeszę swej korespondentki McGarmick, która podkreśla, że zarówno w Londynie jak i w Paryżu Dulles natrafił na „silną opozycję wobec swej polityki gróźb przed konferencją genewską".

Głosy prasy hinduskiej, pakistańskiej i cejlońskiej

PEKIN (PAP). Jak donosi agencja Nowych Chin, komentarze prasy hinduskiej, pakistańskiej i cejlońskiej dowodzą, że w krajach tych wzrasta niezadowolenie z machinacji St. Zjednoczonych, które usiłują storpedować konferencję genewską i rozszerzyć wojnę w Indochinach.

Hinduski dziennik **„Assan Tribune"** pisze m. in.:

„Wydaje się, że Dulles stara się wszelkimi sposobami nie dopuścić do pokojowego rozwiązania problemu indochińskiego. Chce on storpedować pierwszą konferencję międzynarodową, w której przedstawiciele Chińskiej Republiki Ludowej zajęliby miejsce przy okrągłym stole wraz z przedstawicielami St. Zjednoczonych, W. Brytanii i Francji. Postępowanie Dullesa demaskuje raz jeszcze polityków amerykańskich, którzy mówią wiele o pokoju, ale działają wyraźnie na jego szkodę".

Również dziennik **„Hindu"** stwierdza, że Dulles chce storpedować konferencję genewską.

Dziennik pakistański **„Imroz"** podkreślając, że St. Zjednoczone chcą uczynić z Indochin drugą Koreę, pisze m. in.:

„Eisenhower oznajmił, że „St. Zjednoczone nie chcą za żadną cenę stracić Indochin". Jasne więc jest, że Amerykanom nie chodzi już tylko o dyktowanie swej woli Francuzom w Wietnamie. Chodzi im o wyparcie imperialistów francuskich i o zastąpienie ich w Indochinach".

Tygodnik cejloński **„Trine"** pisze, iż wszystko wskazuje na to, że myśl o przywróceniu w drodze rokowań pokoju w Indochinach wprost nie mieści się w umyśle Dullesa. Toteż robi on wszystko co może, aby storpedować konferencję genewską.

NOWY JORK (PAP). W czwartek sekretarz stanu USA Dulles powrócił do USA ze swej podróży do Londynu i Paryża.

BLIŻEJ LUDZKICH SPRAW

ZA CO właściwie płacimy składki? — z pytaniem takim spotkał się przedstawiciel niejednej rady zakładowej. Pytanie to stanowiło drastyczną ocenę działalności rady zakładowej. Oznaczało ono, że załoga nie widziała konkretnej działalności związku zawodowego, nie widziała z jego strony pomocy, rzetelnej troski o sprawy bytowe, socjalne.

Oczywiście, były i są rady dobrze pracujące. Są związki zawodowe, które mają poważne osiągnięcia zarówno w walce o podniesienie produkcji, jak i w dziedzinie poprawy warunków bytowych ludności.

Jako całość jednak zw. zaw. nie potrafiły w pełni wykorzystać istniejących możliwości i środków dla szybkiego podniesienia poziomu życiowego ludzi pracy. Jak mówi bowiem opublikowana dn. 14 bm. uchwała Komitetu Centralnego PZPR o pracy związków zawodowych, wiele instancji związkowych, nie wyłączając CRZZ i Zarządów Głównych, nie reagowało należycie na bolączki i istotne potrzeby robotników i pracowników, tolerowało wypadki naruszania ustawodawstwa pracy i zasad higieny i bezpieczeństwa pracy, nie potrafiło właściwie wykorzystywać wielomilionowych funduszów socjalnych itd. Wielu działaczy związkowych zamiast pracować z ludźmi traciło czas na papierkową robotę, jałowe zebrania.

Zw. zawodowe, liczące obecnie 4,5 mil. członków (a poza związkami pozostaje jeszcze ok. miliona robotników i pracowników) jako najbardziej masowa organizacja ludzi pracy powinny odegrać szczególnie doniosłą rolę w wysiłkach, zmierzających do szybszego podniesienia stopy życiowej w naszym kraju. Dlatego też muszą pokonać dotychczasowe niedostatki w swej pracy.

CÓŻ WIĘC mają czynić związki zawodowe, aby zwiększyć swoją rolę w podnoszeniu dobrobytu mas pracujących?

Aby rósł dobrobyt, trzeba pracować wydajniej, oszczędniej gospodarować surowcami, produkować lepsze towary. Czy wobec tego zw. zaw. pracowników budowlanych może np. nie reagować lub reagować zbyt słabo — jak to było dotychczas — na bezmyślne niszczenie w warszawskim budownictwie setek tysięcy cegieł, co oczywiście podnosi koszty budowy, uniemożliwia przeznaczenie poważnych środków na inne potrzeby ludności? Czy zw. zaw. mogą nie reagować na często dotychczas spotykane fakty chowania na lata całe do biurek cennych pomysłów racjonalizatorskich, mogących przynieść wielkie oszczędności? Powinny reagować — i to reagować śmielej, energiczniej.

W równym stopniu sprawy bytowe załogi powinny być przedmiotem stałej, gorącej troski związków zawodowych. Powinny one pomagać ludziom w konkretny sposób — kontrolując pracę stołówek i bufetów przyzakładowych, sieć handlu uspołecznionego, wykorzystanie miejsc na wczasach i w sanatoriach, kontrolując przestrzeganie ustawodawstwa pracy i umów zbiorowych, a także ingerując w sprawę remontów mieszkań, budowy żłobków, przedszkoli, świetlic itd.

Aby wzmocnić rolę zw. zaw. w walce o sprawy bytowe robotników i pracowników, Komitet Centralny PZPR uznał za słuszną inicjatywę CRZZ w sprawie przekazania zw. zaw. ubezpieczeń społecznych (z wyjątkiem rent i emerytur), inspekcji pracy i zapewnienia obowiązkowego udziału zw. zaw. w planowaniu budownictwa mieszkaniowego, socjalnego, kulturalnego i sportowo-turystycznego.

TROSKA o człowieka to, oczywiście, również troska o jego wszechstronny rozwój, o stały wzrost jego wiedzy, poziomu kulturalnego. A wiemy, że dotychczas nierzadko nawet duże zakłady stanowiły odłogi kulturalne, w których imprezy artystyczne były rzeczą niemal nieznaną, szkolenie było zaniedbane, z biblioteki korzystał nikły odsetek załogi. Stworzenie dla ludzi pracy warunków kulturalnego wypoczynku, warunków wszechstronnego rozwoju — zarówno w miastach, jak i na wsi, w PGR, w POM — to również dla zw. zaw. ważne zadanie.

Sens uchwały KC PZPR o pracy związków zawodowych wypływa z idei IX Plenum i II Zjazdu Partii; chodzi o jak najbardziej życiowe, wnikliwe traktowanie ludzkich spraw, chodzi o jak najszerszą pomoc ludziom pracy. Ta myśl przewodnia powinna przyświecać wszystkim ogniwom związków zawodowych w ich codziennej działalności.

(w)

ŻÓŁTY SKARB

(Dokończenie ze str. 1)

przymarzało, można było skórę zostawić. Na niektórych szybach nie było prądnic do światła. Raporty pisali przy lampkach, wiatr je stale zdmuchiwał, przecież wszystko otwarte, ledwie kawałek ściany koło motoru.

Kerner zawahał się chwilę. — Ale wiertacze nie skarżyli się, my przywykli — nie tylko do mrozów.

Dawniej za robotą szli do obcych. Holendrzy chętnie kontraktowali wiertaczy jasielskich czy gorlickich. Nosa mają do nafty i bardzo pracowici. Może się nawet dziwili dlaczego aż tu muszą wędrować za chlebem. Wysyłali ich do kolonii — na Jawę, na Borneo. Żżerało ludzi zielone słońce dżungli, ciężka wilgotna duchota, komary. A nocami gorączka skakała do gardła. Polska — daleko, daleko. Wielu zostało tam na zawsze — w ziemi. Podobno na Jawie jest pomnik polskich nafciarzy. Ciężkie to oskarżenie rządców kraju, którzy nie potrafili dać im pracy na ojczystej ziemi. Ale oni jednak wracali — ci co przetrwali — wracali do swoich na gorzki ale własny chleb.

Z Kernerem można niejedną noc przegadać. Prawie 35 lat w zawodzie. Siwizna słabo się go ima, tyle, że te gorzkie bruzdy koło ust. Ziemia zawsze jest twarda. I teraz też.

Objaśnił knot, trzymał w palcach gorące szkiełko. Nie piekło. Skóra zgrubiała.

— Mnie już nie czas nowych bogów szukać — ale młodych dzisiaj wszystko czeka, byle wiertać, a jest za czym, oj jest.

Milczałem, choć trudno było się z nim zgodzić. Może mu przypomnieć: szliśmy wiejską drogą wracając od szybu, naokoło wszystko już dawno spało. Siąpił deszcz, byliśmy bardzo zmęczeni. Rzekliście wtedy — zajrzę jeszcze na M-12, tam słabo coś wiercą. — Byliście najmłodszym z nas. Najmłodszym i najsilniejszym.

Ale milczeliśmy, przegrodzeni sosnowym stołem. Kerner grzebał w kieszeni szukając papierosa. Nie było. Wyciągnął przybrudzoną torebkę. Rozchylił brzegi, zamigotał żółtawy proszek. Siarka. Przesypywał ją przez palce.

— Czysta jak łza — rzekł — rodzima. A później dodał ciszej — nasza, rozumie pan, nasza...

*

„Warszawa" kołysała na wybojach. Jechaliśmy przez gęsty dębniak do szybu wywiadowczego położonego na skraju złoża. Dokładniej mówiąc: na skraju dotąd zbadanego złoża. Bieżące wiercenia mają bowiem dokładniej określić granice pokładów. Nie wiadomo więc jeszcze czy, te już rozpoznane zasoby — i tak stawiające nas na pierwszym miejscu w Europie — nie powiększą się. Mamy siarki rodzimej więcej niż Włosi w górach Sycylii, niż Hiszpanie. Ale czy ziemia nasza powiedziała już ostatnie słowo?

Jest siarka, magistrze?...

W samochodzie dwaj młodzi ludzie: magister Kubica, zeszłoroczny absolwent geologii Uniwersytetu Wrocławskiego oraz inżynier górnik z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie Józef Czabański. Inżynier Czabański ma jeszcze ciepły dyplom w kieszeni — dostał go w tym roku.

Siarka — piękny start dla młodych ludzi. Piękny i trudny. To o takich jak oni wspominał Roman Kerner. Im przede wszystkim przypadnie w udziale walka o dalsze rozpoznanie skarbów naszej ziemi.

Podjeżdżamy do szybu schowanego w młodych sosnach, nad drzewa wystaje tylko stalowy trojak wieży. Magister Kubica otwiera skrzynki z próbkami gleby. Mulaste śliskie kluchy niczego nie zwiastują.

— Jakoś tu słabo idzie, śladu siarki — rozciera w palcach kawałek rdzenia. Nagle milknie i szybko wyciąga chustkę, starannie wyciera nos, wącha ił.

— Niech pan zobaczy, czyżby siarkowodór — podaje Czabańskiemu. — Tak, śmierdzi — odpowiada inżynier.

Któryś z robotników podbiega do Kubicy: — Jest siarka, magistrze? — Jeszcze nie wiadomo — Kubica zawsze jest oględny — pewnie tylko woda coś przyniosła. Zresztą może dowiercamy się do złoża. Za parę dni się wyjaśni. Robotnik chwyta rdzeń i wącha go zachłannie — śmierdzi, śmierdzi jak cholera — mruczy pod nosem. Gdyśmy odjeżdżali, załoga żywo o czymś rozprawiała. — Pewnie znów przeklinają motor, który się ciągle psuje — bąknął wesoło Kubica. Ale chyba nie o motorze była mowa...

Wielu niezwykłych ludzi tu spotkałem. Niezwykłych w swym uporze i prostocie. Tych, którzy przeszli zimowy chrzest na szybach. Bezimiennych twórców narodowego odkrycia. Oni tej ziemi dali jeszcze coś poza siarką. Na ich zażartą robotę patrzyli chłopi i zdziwienie ich zatykało. Ziemia tutejsza łacniej karmi niż inna. Łatwiej też się tu żyło, mniej rozumiało z naszych czasów. Nieraz tu jeszcze o dziewczynę błyśnie nóż. Nieraz tu jeszcze zakoluje czarna, wroga plotka. Lecz okoliczni zaczynają przeglądać. Zbliżają się do wiertaczy. To wiele.

Niedługo wiosna rozbieli sady na wysokim brzegu. Wielkie majowe gwiazdy zatoną w rzece. Będzie to najhojniejsza wiosna tej pszenicznej do niedawna ziemi.

JERZY JARUZELSKI

Jerzy Andrzejewski

BIELANY*)

W KAŻDYM wielkim mieście, obok patriotyzmu, że tak powiem, ogólnomiejskiego, istnieją patriotyzmy dzielnicowe. Miała je i Warszawa, Wola i Marymont, Powiśle i Mokotów, Kolonia Staszica i Stare Miasto, Praga i Żoliborz — to była jedna wprawdzie stolica, to samo miasto, zwłaszcza w ciężkich chwilach, wiążące mieszkańców szczególnie silnie solidarnością, zawsze poza tym pełne przeciwieństw, blasków i cieni, a jednak jak odmiennym pejzażem, innym ruchem i życiem manifestujące się w każdej swojej dzielnicy. Może jedynie śródmieście było tylko i wyłącznie stolicą. Kto mieszkał na Marszałkowskiej, na Nowym Świecie, na Pięknej lub Jasnej, był po prostu warszawiakiem, lecz ci, którzy mieli na przykład swoje domy na Żoliborzu, byli jeszcze żoliborzanami, mieszkańcy Pragi — prażanami, a Woli — po prostu tymi, którzy byli z Woli. Wśród willi i wielkich bloków spółdzielczych dzielnic nowoczesnych życie inaczej się toczyło niż wśród wąskich uliczek i kościołów Starego Miasta, kominów i nędznych drewniaków Woli, lub pod zbiegającymi ku rzece dachami Powiśla.

Przed wojną mieszkałem dłuższy czas na Żoliborzu, na małej uliczce, której zaletą były spokój i cisza willowych domków, pogodna wesołość ogródków i zapach kwitnących u progu lata akacji. Co prawda, jak rok okrągły, zawsze było na Żoliborzu wietrzno i zamiecie zimowe, a tumany kurzu latem bywały dokuczliwe, można się jednak było do tego przyzwyczaić. W zamian miało się swobodną przestrzeń dokoła, dużo powietrza, zieleni i kwiatów, i niebo rozległe, na którym gwiazdy świeciły i jaśniej i piękniej niż na wąskich skrawkach nieba śródmieścia.

Ze wszystkich nowoczesnych dzielnic Warszawy Żolibórz, pozostając wielkim miastem, najpełniej zaspokajał tęsknotę mieszczucha za przestrzenią i swobodą. Kiedy wracało się z miasta do domu, a tramwaj lub autobus zjeżdżać poczynały w dół wiaduktem przerzuconym nad torami dworca Gdańskiego, perspektywa szerokich alej i daleki horyzont, aż za Marymontem zamknięty ciemną smugą bielańskiego lasu, były prawdziwą ulgą po dniu spędzonym wśród zgiełku, pospiesznego ruchu i ciasno stłoczonych kamienic śródmieścia.

Z miejsca, gdzie mieszkałem, nie daleko było do parku Żeromskiego, który wyrastał młodą zielenią w samym sercu Żoliborza. Również niezbyt było odległe nadwiślańskie wybrzeże. Nigdy nie zapomnę wiosennych wieczorów na Żoliborzu, zachodów słońca, bzów na osiedlu dziennikarskim, białych jaśminów i ogródków, w których czerwieniały smukłe tulipany i kwitły żółte i liliowe irysy. A małe domki ginące w gąszczu winorośli. Gładkie ściany bloków, które świeża, pnąca się zieleń przemieniała w wysokie szpalery ogrodów. Latem była nad Wisłą plaża i mnóstwo kajaków ślizgało się w słońcu po rzece. Brzegiem Wisły biegła ku Żoliborzowi szeroka autostrada. Mijało się po drodze stary most kolejowy, tyły parku Traugutta założonego na tyłach dawnych fortyfikacji Cytadeli i wreszcie samą Cytadelę. Na jej zielonym stoku, poniżej czerwonych murów więziennych pawilonów, stały krzyże. Były to mogiły bojowników z roku 1905. Dalej, za ostrym zakrętem ocienionym starymi lipami, autostrada odrywała się od Wisły i biegła wprost w górę ku Żoliborzowi.

W ciągu dwudziestu niespełna lat, z kilkudziesięciu krytych czerwoną dachówką domków urzędniczych przy Alei Wojska Polskiego, Żoliborz stał się wielką kolonią z sześćdziesięcioma tysiącami mieszkańców. Wśród jego bloków kwitły spółdzielczość, socjalizm i młodość. Dużo najlepszej warszawskiej inteligencji mieszkało właśnie na Żoliborzu. Socjalizm wzniósł i ożywiał wielkie „Szklane domy" przy alei Krasińskiego. A dzieci, zdrowych i opalonych, młodych chłopców i dziewcząt, nigdzie indziej w Warszawie nie widziało się w takiej ilości, jak w tej dzielnicy. Gdy nadszedł więc czas wojny, terror hitlerowski nieprzerwanie w ciągu pięciu lat najsilniej bodaj i najboleśniej uderzał właśnie w Żoliborz. Ten jednak trwał i żył podczas lat najcięższych. Potem przyszły tragiczne dnie powstania.

„W czasach przedpowstaniowych mieszkałem na najdalej wysuniętym na północ krańcu Warszawy — na Bielanach. Bielany, Bielany. Najpiękniejszy widok na Wisłę rozpościerał się w Warszawie właśnie z bielańskiego brzegu. W dole, u stóp piaszczystego urwiska, płynęła Wisła tak zawsze czuła na pogodę i kolor nieba, szara, gdy było chmurne, a niebieska, kiedy i ono niebieskością się nasycało. Las bielański szumiał wysokimi sosnami, a zboczem urwiska spływała ostrym zakrętem ku dołowi malownicza droga. Po jej prawej stronie wznosiły się wśród zieleni białe budynki zakładu Ojców Marianów. Na samym zaś wzgórzu, nieomal na jego krawędzi, stała gospoda Bochenka — stara drewniana buda goszcząca w swych ścianach wiele pokoleń warszawiaków.

W czasach szkolnych wycieczek, w upał, nigdzie kwas na chlebie nie był tak chłodny i musujący i tak znakomicie nie smakował, jak u Bochenka. Nigdzie też na naszej piaszczystej równinie mazowieckiej nie rosły dęby tak bujne i rozłożyste, jak w głębi lasu bielańskiego, który kusił wiaterkiem wiejącym od rzeki, soczystą trawą i wertepami stromych wąwozów,

Jakże piękne były te dni szkolnych wycieczek. Poniżej urwiska kołowały białe rybitwy, a statki płynące z warszawskich przystani, albo z dołu Wisły od strony Płocka i Włocławka, na bardzo wielką odległość można było rozpoznać po smudze dymu wznoszącej się u kresu widnokręgu. Po długiej chwili wyłaniał się wreszcie spoza zakrętu oczekiwany statek: biały, żółty, czasem ozdobiony czerwonym pasem. Przybliżał się z donośnym gwizdem i wolno nas mijał, wyrzucając z kominów kłęby dymu, z łopotem roztrącając ogromnym kołem spokojną wodę. Powiewaliśmy z góry chusteczkami i wymachiwaliśmy rękoma, a malutcy ludzie, podobni do ludzików Breughela, odpowiadali nam z pokładu podobnym pozdrowieniem.

Jeździliśmy zwykle na Bielany tramwajem do ostatniego przystanku na Marymoncie, przy stawie. Tam mijaliśmy ostatnie drewniane domki i wilgotnymi łąkami szliśmy w stronę nadwiślańskiego wału, potem wałem, na którego zboczach kwitły żółte kaczeńce, jaskry i margaretki, zdążaliśmy wprost ku Bielanom. W wiklinach nadbrzeżnych kuwikały ptaki. Bielały tarniny. W płytkich zatokach kąpali się nadzy chłopcy, a na rzece zalanej słońcem lekko kołysały się rybackie łodzie. Gdy rybacy wyciągali sieć, w jej sznurach trzepotały się i srebrzyście migotały ryby. Nieraz środkiem Wisły sunęły wolno ogromne berlinki z drzewem. Jednym z moich pragnień w owych czasach było zamieszkać na podobnej berlince i razem z flisakami popłynąć w dół Wisły.

Na wycieczki wyruszaliśmy zazwyczaj pod opieką naszego nauczyciela przyrody. Był to wysoki mężczyzna, jeszcze młody, o bardzo ciemnych, wiecznie potarganych włosach, nieprzytomnych oczach krótkowidza i ruchach zdumiewająco nieskoordynowanych. O ile się nie mylę, zajmował w gronie nauczycielskim stanowisko podrzędne. Nie był dość poważny i na oczach uczniów pokonywał schody, przeskakując po trzy stopnie naraz. Nazywaliśmy go Iwanem, ponieważ urodził się w Rosji i mówił z bardzo złym akcentem. Na swój sposób lubiliśmy go. Gdy krzyczał, myśmy krzyczeli jeszcze głośniej. Jeżeli wpadał w złość, szaleliśmy z radości. Nieraz się zadarzało, że na lekcjach przyrody ani jeden z dwudziestu kilku uczniów nie znajdował się na swoim miejscu. Kotłowaliśmy się wszyscy między ławkami, pod nimi i na nich, zaś Iwan, całkiem już nad sytuacją nie panując, daremnie usiłował przekrzyczeć nasze młode głosy. Mimo to, a może właśnie dlatego, był znakomitym przyrodnikiem i kochał zwierzęta, rośliny i kwiaty uczuciem pełnym mądrości i serca. Na wycieczkach pochłaniało go bez reszty kompletowanie szkolnego zielnika. Porzucał nas dla samotnych poszukiwań, zostawiając nam zupełną swobodę. Korzystaliśmy z niej, to rzecz jasna. I dlatego zapewne tyle wdzięcznych wspomnień ślą mi z odległej przeszłości Bielany, bielański lasek, najpiękniejsze brzegi Wisły.

*) Fragment wspomnień pisanych przez autora w latach 1944—1947. Całość pt. „Książka dla Marcina" ukaże się w tym roku w wydaniu PIW.

Ofensywa zdrowego rozsądku

WŚRÓD oddziałów, które pod szyldem ONZ brały udział w interwencji amerykańskiej na Korei, znalazła się również 1000-osobowa abisyńska jednostka wojskowa.

Waszyngton uznał, że opłaca się — jeżeli nie z punktu widzenia wojskowego, to politycznego — przewieźć z dalekiej Afryki do Korei 1.000 żołnierzy abisyńskich. Chodziło bowiem o udowodnienie społeczeństwom azjatyckim, że wojna koreańska nie jest agresją białych imperialistów przeciw „kolorowemu" ludowi koreańskiemu, ale wspólną akcją państw zarówno białych, jak i „kolorowych", w obronie południowej Korei. Udział żołnierzy abisyńskich w tej akcji miał więc charakter propagandowy.

Nie ma potrzeby dowodzić, że sprowadzeni na Koreę Abisyńczycy nie mieli zielonego pojęcia o tym, co to jest ta „obrona wolnego świata", w imię której mieli ginąć na dalekiej nieznanej im nawet ze słyszenia ziemi koreańskiej. Narzucona im wyprawa na Koreę była dla nich niezrozumiała, nieuzasadniona i bezsensowna.

NIEBAWEM okazało się, że ofiary poniesione przez Abisyńczyków na koreańskich polach bitew są nie tylko nonsensowne z ich punktu widzenia, ale nie pomogły również Amerykanom w osiągnięciu celu propagandowego, jakiemu miał służyć udział ciemnoskórej Abisynii w wojnie przeciw ludowi koreańskiemu. Przykład Abisynii nie podziałał bowiem zachęcająco na inne społeczeństwa azjatyckie, które odmówiły udziału w amerykańskiej interwencji przeciw Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej. Waszyngtonowi nie udało się ściągnąć na Koreę ani oddziałów indyjskich, ani też indonezyjskich czy burmańskich. Tym samym nie udało się Waszyngtonowi podzielić się z narodami azjatyckimi odpowiedzialnością za bestialstwa wojny koreańskiej. Co więcej, wiadomości o totalnym bombardowaniu miast i wsi koreańskich przez lotnictwo amerykańskie nie przyczyniły się bynajmniej do wzrostu popularności i prestiżu USA w Azji. Wręcz przeciwnie.

Doszło do tego, że w chwili obecnej wypowiedzieć się w krajach azjatyckich za ścisłym sojuszem ze Stanami Zjednoczonymi oznacza narazić się na całkowitą dyskredytację. Nie jest, oczywiście, przypadkiem, że zarówno rząd prawie 400-milionowych Indii, jak 75-milionowej Indonezji wypowiadają się przeciw amerykańskiej polityce tworzenia antykomunistycznych bloków wojskowych i udziałowi w nich krajów azjatyckich.

Zarówno Indonezja jak i Indie dążą do zacieśnienia swoich stosunków gospodarczych z Chinami Ludowymi i ze Związkiem Radzieckim. Znamienne są pod tym względem słowa, wygłoszone kilka dni temu przez ambasadora Indonezji Subanrajo w Moskwie przy składaniu listów uwierzytelniających Przewodniczącemu Rady Najwyższej ZSRR, Woroszyłowowi. Ambasador Indonezji nie ograniczył się do zwykłej kurtuazyjnej wypowiedzi i oświadczył, że nawiązanie ścisły kontaktów gospodarczych i handlowych umożliwi Indonezji skorzystanie z postępu gospodarczego i doświadczeń ZSRR dla podniesienia poziomu życiowego narodu indonezyjskiego. Sądzić należy, że ta wypowiedź nie przypadnie do gustu wysokim urzędnikom amerykańskiego Departamentu Stanu.

Odzwierciedla ona natomiast nastroje panujące nie tylko wśród dziesiątków milionów ludności pracującej Indonezji, ale również wśród sfer miarodajnych i rządzących.

NIE mają również Amerykanie powodów do zadowolenia ze stanowiska Indii, tym bardziej, że ostatnio stosunki między Delhi a Waszyngtonem uległy dalszemu pogorszeniu.

Dążąc uporczywie w myśl swoich agresywnych planów do rozbudowania w Azji sieci baz antyradzieckich i antychińskich, Amerykanie osiągają to, że muszą za sukces osiągnięty w tej dziedzinie w jednym kraju płacić stratami prestiżowymi w innych krajach.

Udało się Waszyngtonowi skłonić rząd pakistański do zawarcia układu wojskowego z Turcją i do zgody na rozbudowę amerykańskich baz wojskowych na terenie Pakistanu. Ale za ten sukces zapłacili oni dalszym upadkiem swego prestiżu w Indiach, Indonezji i Burmie, które ostro potępiły układy wojskowe pakistańsko-tureckie i pakistańsko-amerykańskie.

Sytuacja Amerykanów jest tym bardziej kłopotliwa, że dążą oni, jak wynika z komunikatów po ostatniej wizycie Dullesa w Londynie, do utworzenia antychińskiego i antyradzieckiego sojuszu państw azjatyckich, który by był odpowiednikiem sojuszu atlantyckiego w Europie. W tej chwili zanosi się na to, że w tym azjatyckim sojuszu Pacyfiku wzięły by udział takie azjatyckie państwa jak St. Zjednoczone, Francja i Anglia, a nie uczestniczyłyby w nim — Indie, Indonezja i Burma.

Amerykanie żądają bowiem od państw azjatyckich, państw niekomunistycznych, prowadzenia polityki sprzecznej ze zdrowym rozsądkiem, sprzecznej z ich podstawowymi interesami państwowymi, i siłą rzeczy zdrowy rozsądek zwycięża, a porażki ponoszą polityczni stratedzy Waszyngtonu.

Zdrowy rozsądek nakazuje nawet sferom posiadającym Indii czy Indonezji dążyć w imię własnych interesów do nawiązania stosunków gospodarczych i politycznych z krajami obozu socjalistycznego. Wiedzą bowiem z doświadczenia, że wymiana handlowa z krajami obozu socjalistycznego oparta jest na zasadzie równości i obopólnego interesu. Co więcej, rządy wielu krajów azjatyckich przekonały się, że im szersze i ściślejsze są ich kontakty gospodarczo-polityczne z krajami socjalistycznymi, tym mocniejsza staje się ich pozycja w stosunkach z krajami wielkokapitalistycznymi, a w szczególności ze Stanami Zjednoczonymi. I dlatego postępują tak, jak wymaga zdrowy rozsądek, a nie jak nakazuje Waszyngton.

TRZEBA powiedzieć, że również w dziedzinie stosunków z Europą zachodnią Amerykanie coraz częściej stwierdzają, że ich polityka budzi tam wzmagający się opór nie tylko klasy robotniczej, ale i kierujących się zdrowym rozsądkiem sfer posiadających. Polityka amerykańska wobec zachodnio - europejskich partnerów — przypomina coraz bardziej namowy do skoku w przepaść.

W imię zgubnych dla krajów Europy zachodniej planów rozpętania trzeciej wojny światowej, Amerykanie żądają od społeczeństw tych krajów zgody na odbudowę neohitlerowskich sił zbrojnych Niemiec zachodnich. W imię tychże zgubnych dla Europy zachodniej celów strategicznych Amerykanie przeciwstawiają się rozszerzaniu wymiany handlowej między krajami socjalistycznymi i kapitalistycznymi Europy.

Amerykańska strategia wojskowo-polityczna usiłuje narzucić Europie zachodniej linię rozwoju sprzeczną z jej najbardziej podstawowymi interesami. Nic też dziwnego, że w chwili obecnej ludzie najrozmaitszych i najbardziej przeciwstawnych poglądów politycznych znajdują we Francji wspólny język, o ile chodzi o sprawy tak oczywiste z punktu widzenia zdrowego rozsądku ludzkiego, jak konieczność zapobieżenia odbudowie Wehrmachtu, zakończenia wojny w Wietnamie, czy też uniknięcia trzeciej wojny światowej.

I nic też dziwnego, że na przykład w Anglii tak powszechną popularnością cieszy się teza o konieczności znalezienia drogi do zakazu używania broni atomowej i wodorowej. Nie znaczy to, oczywiście, że siły, działające we Francji i Anglii na rzecz kontynuowania dotychczasowej linii politycznej, przestały wywierać wpływ, i to poważny wpływ na bieg wydarzeń. Wiemy, że tak nie jest. Chodzi tylko o to, że coraz mocniej toruje sobie drogę zarówno w Europie, jak i w Azji ofensywa zdrowego rozsądku.

JESTEŚMY świadkami tworzenia się najszerzej pojętego frontu ludzi różnych klas społecznych i przeciwstawnych nawet przekonań politycznych — frontu zdrowego rozsądku. Front ten obejmuje wszystkich ludzi, zgodnych co do konieczności i możliwości znalezienia drogi do pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach społecznych. Droga ta biegnie w kierunku przeciwnym od tej, nad którą krążą samoloty z bombami atomowymi i wodorowymi. Wiele znaków na niebie europejskim i azjatyckim wskazuje, że zwycięstwo będzie po stronie frontu zdrowego rozsądku,

EDMUND BORA

60-lecie urodzin N. S. Chruszczowa

Nikita Sergiejewicz Chruszczow kończy dziś 60 lat. Chruszczow urodził się w rodzinie górniczej i sam pracował w kopalni w Donbasie. Członek KPZR od roku 1918, aktywny uczestnik wojny domowej, członek Biura Politycznego KC KPZR od roku 1939, obecnie I sekretarz KC KPZR, Chruszczow jest jednym z najwybitniejszych działaczy państwa radzieckiego i Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Ludzie pracy w Polsce składają dziś jubilatowi — wypróbowanemu przyjacielowi naszego narodu — serdeczne życzenia długich lat zdrowia oraz pomyślnej pracy dla dobra narodów radzieckich i dla zwycięstwa sprawy pokoju i postępu na świecie.

Po europejskiej podróży Dullesa

Fasada i rzeczywistość

ŻEGNANY przez kordony policji francuskiej i przez liczne napisy, głoszące „Go home" i „Pokój z Wietnamem!" — przy czym i kordony i napisy świadczą wymownie o nastrojach ludności francuskiej — mr Dulles odleciał z Paryża do Waszyngtonu.

Komentarze prasy amerykańskiej i zachodnio - europejskiej o rezultatach jego europejskiej podróży są bardzo niejednolite. Niektórzy komentatorzy uważają je za kompromis między stanowiskiem amerykańskim a angielskim, niektórzy stwierdzają, że „Dulles uzyskał carte blanche", jak pisze np. londyński „Manchester Guardian".

Po oświadczeniach Dulles — Eden i Dulles — Bidault, można w każdym razie stwierdzić, po pierwsze: różnice, dzielące Anglię i Francję od Ameryki w sprawach polityki azjatyckiej bynajmniej nie zostały zlikwidowane, mimo wspólności owych oświadczeń. Już sam fakt, że przed konferencją genewską minister Dulles uważał za konieczne odbyć podróż do Londynu i Paryża, podczas gdy przed konferencją berlińską taki nacisk np. nie był potrzebny — dowodzi, jak poważne są te różnice. Wspólne oświadczenia mogą zapobiec tylko temu, żeby nie wystąpiły one w ostrej i jawnej formie na konferencji genewskiej. Przyczyny owych różnic jednakże pozostały, a nawet pogłębiły się, ponieważ również wspomniane oświadczenia zawierają, choć w zmienionej formie, groźbę rozszerzenia wojny, a państwa europejskie, przede wszystkim zaś Francja, oczekiwały i nadal oczekują od konferencji genewskiej pokoju w Indochinach.

Można, po drugie, stwierdzić, że obawy narodu angielskiego i francuskiego, a także innych narodów, iż Amerykanie nie zrezygnowali z zamiaru rozszerzenia wojny w Indochinach, są w dalszym ciągu usprawiedliwione, choć oba oficjalne oświadczenia utrzymane są nie tylko w znacznie łagodniejszym tonie, niż poprzednie zapowiedzi mr Dullesa, ale różnią się też od nich merytorycznie.

Można, po trzecie, stwierdzić, że jednakże nie doszło do stworzenia takich faktów dokonanych, które by z góry przekreśliły możliwość osiągnięcia wyników na konferencji genewskiej. Takim faktem dokonanym miało być „ostrzeżenie", jakie mr. Dulles już teraz, przed konferencją, chciał wystosować wobec Chin Ludowych oraz zapowiedź, również przed konferencją, podjęcia wspólnej akcji w Indochinach. Z tym „programem" Dulles jechał do Europy. Nie został on w pełni zrealizowany, gdyż „ostrzeżenie" wobec Chin na razie w ogóle odpadło, a zapowiedź „wspólnej akcji" w Indochinach została przynajmniej odsunięta i uzależniona od wyników konferencji. Tak więc drzwi do rokowań nie zostały zatrzaśnięte, walka o osiągnięcie pokoju w Indochinach pozostanie przedmiotem konferencji genewskiej. Będzie to jednakże walka niełatwa.

PRZYPOMNIJMY pokrótce i pobieżnie, jakie są istotne podstawy dalekowschodniej polityki mr. Dullesa.

Owo niedoszłe na razie do skutku „ostrzeżenie" pod adresem Chin Ludowych i groźby pod adresem Wietnamu — polityka amerykańska motywowała rzekomą „agresją" Chin w Wietnamie, czyli — inaczej mówiąc — rzekomą pomocą, udzielaną przez Chiny walczącemu Wietnamowi. Bzdurności tego argumentu dowodzi dostatecznie fakt, że przecież lud Wietnamu walczy o swoją wolność od 8 lat, rozpoczął tę walkę w czasie, gdy w Chinach rządził jeszcze Czang Kai-szek. Nawet londyński „Times" pisał kilka dni temu w tonie nieco zakłopotanym, że wiadomości o pomocy Chin dla Wietnamu są „mocno przesadzone".

Natomiast ingerencji amerykańskiej w Indochinach, ingerencji wyrażającej się w dostawach ogromnej ilości broni, samolotów oraz instruktorów wojskowych, nie przeczą nawet sami Amerykanie. Dwa dni temu amerykański senator Mansfield oświadczył: „Pomoc, udzielana przez Amerykę Francuzom w Indochinach, doprowadziła nas niemal do pełnego zaangażowania się w prowadzoną tam wojnę. Jasne jest, że rząd nasz ceni wysoko **strategiczne znaczenie** Indochin".

Jeżeli trzeba jeszcze uzupełnienia do tego, co Amerykanie tak pięknie nazywają „obroną wolnego świata" w Azji, to nadmieńmy, że na wojownicze oświadczenia Dullesa (z 29 marca i 5 kwietnia), giełda nowojorska zareagowała gorączkową zwyżką cen ołowiu, cyny i innych surowców strategicznych; że sam Dulles we wspomnianych przemówieniach mówił o niezmierzonych bogactwach surowców strategicznych, jak kauczuk, ropa, metale itd. w Azji; i że jednocześnie stwierdził otwarcie, iż cały rejon Azji południowo - wschodniej posiada dla USA z tych właśnie względów „życiowo ważne znaczenie" i że Stany Zjednoczone, obojętne jakimi drogami, powinny przeszkodzić jakimkolwiek zmianom ustrojowym w tej części świata.

Stany Zjednoczone za wszelką cenę chcą utrzymać w Indochinach reżim, przeciwko któremu walczy od lat bohaterski naród wietnamski. Ten reżim jest im potrzebny dla stworzenia na Dalekim Wschodzie systemu paktów i baz wojennych, okrążających ZSRR i Chiny, na wzór NATO (paktu atlantyckiego). Ten ustrój i reżim jest im potrzebny również po to, by w Indochinach zająć miejsce Francji, co swoim zwyczajem Amerykanie nazywają „niepodległością Indochin". „New York Times" pisał 14 bm.: „Bao Dai nie ukrywa w rozmowach z Francuzami, że wolałby raczej uzyskać poparcie ze strony USA, niż ze strony Francji... Poważne odłamy ludności indochińskiej wierzyłyby bardziej w przyznanie Indochinom kompletnej niepodległości, gdyby kraj ten odłączył się od Francji i dostał się pod opiekę USA..."

Co oznacza ta „opieka", rozszyfrowuje „Paris Presse", pisząc: „Amerykanie domagają się całkowitej niezawisłości Wietnamu, aby przejąć w spadku kolonializm francuski".

Tak więc sens oświadczeń Dullesa przed jego ostatnią podróżą do Europy był taki: wystosujmy „ostrzeżenie" pod adresem Chin i zapowiedzmy Indochinom „wspólną akcję", czyli nową Koreę po to, byśmy my, Amerykanie, nie stracili baz w swoim dalekowschodnim NATO i po to, by na Indochinach zarabiali — zamiast francuskich — amerykańscy kapitaliści. To był cel, dla którego mieli ginąć nie american boys — wystarczy, jeśli USA dają pieniądze i broń — lecz Anglicy, Francuzi, Australijczycy itd. itd.

Jest rzeczą jasną, że te oświadczenia wywołały falę oburzenia nie tylko wśród narodów Europy, ale również wśród polityków burżuazyjnych. Dlatego pan Dulles spakował walizki i przyjechał do Europy.

PO jego powrocie do Waszyngtonu przyczyny do niepokoju i obaw narodów europejskich bynajmniej nie zniknęły.

Sekretarz stanu USA przywiózł do Europy projekt paktu wojskowego dla Azji południowo - wschodniej i zachodniej części Oceanu Spokojnego — paktu, do którego miałyby wejść USA, Anglia, Francja, Australia, Nowa Zelandia, Filipiny i in. Ten pakt zajmuje miejsce poprzednich propozycji, tj. „ostrzeżenia" i zapowiedzi „wspólnej akcji". Niektórzy politycy angielscy uważają projekt tego paktu za sukces, albowiem, nauczeni doświadczeniami osobliwej „współpracy" USA z ich sojusznikami, bali się amerykańskich rozstrzygnięć na Dalekim Wschodzie bez udziału Anglii. Naród angielski jednakże nie widzi w takim pakcie zapowiedzi pokoju.

Reakcja na oświadczenia zarówno w Anglii, jak i we Francji świadczy o tym, że — o czym pisaliśmy na początku — różnice między trzema mocarstwami istnieją nadal.

W Anglii demonstracyjne ustąpienie Bevana z „gabinetu cieni" — tzn. z grupy członków Labour Party, którzy w razie dojścia jej do władzy objęliby stanowiska ministrów i którzy stanowią właściwy mózg partii — zrobiło ogromne wrażenie i niewątpliwie wywrze wpływ na innych posłów labourzystowskich. „Times" pisze: „Wielu posłów labourzystowskich nie aprobując tonu i sposobu, w jaki Bevan wystąpił ze swą interwencją, podziela część jego wątpliwości". Posłowie labourzystowscy okrzykami „Nowa Korea!" i „Hańba!" powitali odczytanie przez Edena oświadczenia na temat rozmów odbytych z Dullesem. Londyński korespondent „New York Times", Middleton, pisze o „poważnych rozbieżnościach" między obydwoma sojusznikami, które ujawniły się podczas pertraktacji londyńskich.

We Francji, niezależnie od meritum sprawy, oburzenie wywołało również to, że oświadczenie na temat „azjatyckiego NATO" zostało wydane przed odlotem Dullesa do Paryża, a więc, że Francja została właściwie postawiona przed faktem dokonanym. „Parisien Liberé" podkreśla, że Francję i tym razem zepchnięto do roli „młodszego partnera". Najważniejsze jest jednak to, o czym we wspomnianej już korespondencji w „New York Times" pisał Middleton: „Dulles napotyka przede wszystkim jedną trudność. Jest nią sprzeciw niektórych wpływowych grup w rządzie francuskim wobec międzynarodowej interwencji w Indochinach".

WYNIKI europejskiej podróży Dullesa można by poniekąd nazwać fasadą. Sekretarz Stanu USA przybył do Londynu i Paryża, przynosząc w swym bagażu dyplomatycznym jawny szantaż i groźby wojenne. Oświadczenia, które są wynikiem jego podróży, różnią się od jego poprzednich „propozycji" i w treści i w formie, ale w dalszym ciągu stanowią groźbę dla pokoju.

Wyniki europejskiej podróży Dullesa można nazwać fasadą również z innego powodu. Wyleciał on do Europy w obawie, że na konferencji genewskiej ujawni się przepaść dzieląca azjatycką politykę imperializmu amerykańskiego od celów Anglii i Francji. Wspólne oświadczenia stworzyły fasadę jedności. Ale jest to fasada gmachu, który w dalszym ciągu stoi na bardzo niepewnym fundamencie,

Ed. W.

Jerzy Broszkiewicz

O piosence i tańcu

— Przeczytałam ostatnio kilkanaście nie wydanych książek moich młodych kolegów — powiedziała w trakcie rozmowy pani domu. — Przeczytałam je uważnie i zaniepokoiło mnie pierwsze zjawisko. Otóż ilekroć na stronicach tych książek spotyka się młoda dziewczyna z młodym chłopcem, scena miłosna rozgrywa się mniej więcej w ten sposób: wpierw oboje się rumienią i spuszczają oczy, potem on nabiera na tyle śmiałości, że podnosi wzrok i zbliża się ku niej. Wreszcie ujmuje ją za rękę i wtedy ona patrzy mu w oczy. Na koniec on wychodzi, bohatersko trzaskając drzwiami. Pytacie co mnie zaniepokoiło? Otóż to, że w następnym rozdziale z reguły jest już po ślubie i nasza para ma już... dziecko. Można by więc sądzić, że podług autorów, dzieci rodzą się tylko „w międzyczasie" na skutek... trzaskania drzwiami.

Pani domu, goszcząca nas wówczas herbatą i czarująca rozmową, jest jednym z najwybitniejszych krytyków literackich jakich znam. Rzmowa toczyła się mniej więcej półtora roku temu, w Moskwie, i od półtora roku właśnie, chętnie cytuję owo retoryczne pytanie na temat „trzaskania drzwiami".

Tym razem przypomniało mi się ono w związku z... piosenką. Tak — w związku z „dysonansami na pięciolinii", którymi zajął się Andrzej Wróblewski, pisząc o sprawach naszej piosenki i naszej muzyki tanecznej. („Życie" z dn. 1 i 4 bm.).

Owo retoryczne, złośliwe pytanie wykpiwało fałsze i kłamstewka, pruderyjne i „sztywniackie" maniery tzw. schematycznej literatury. Dziś zresztą nie sztuka już kłócić się ze schematyzmem w literaturze, teatrze czy filmie, wykpiwać go i ośmieszać. Wszyscy wiedzą — papier; nieprawda i nuda. Ofensywa przeciw niemu trwa od dawna. Pierwsze, zwycięskie bitwy mamy już poza sobą.

Są jednak dziedziny sztuki, gdzie papierowe lalki wciąż jeszcze udają ludzi — gdzie atrament udaje krew, a stukot traktora ma zastąpić stukot serca. Dlatego z dużą satysfakcją przeczytałem felietony Wróblewskiego — dlatego też chętnie dodam do nich kilka swoich wykrzykników. Powód jest chyba jasny. Po prostu lubię dobrą piosenkę i lubię dobrą muzykę taneczną. Po prostu chcę, by śmy się wreszcie solidnie wzięli do obrony naszej piosenki i muzyki tanecznej przed trwającą od lat ofensywą nudy, papieru, atramentu, lakieru, fałszywych decyzji, fałszywych „zamówień społecznych", które są po prostu zamówieniami redaktorów nie mających zielonego pojęcia o... społeczeństwie.

*

Przede wszystkim chcę tu wystąpić w obronie małej piosenki lirycznej. Jak wiadomo bowiem, każdy gatunek ma swoje prawa. Co byśmy powiedzieli o myśliwym, który by się wybrał na muchy z armatą, albo z wędką na tygrysy? W tym drugim wypadku niewiele byłoby do zbierania — mielibyśmy pogrzeb i spokój. W wypadku pierwszym procedura byłaby bardziej skomplikowana, bo, jak słyszałem, w Tworkach trudno o miejsce.

No tak — ale co zrobić z takimi „teoretykami" piosenki, którzy są zdania, że powinna ona zawierać w sobie nie mniej „politycznej" treści, niż dziesięć artykułów wstępnych i trzy komentarze na temat sytuacji międzynarodowej? Co z nimi zrobić?

Nie jestem dokładnie zorientowany w procedurze zamówień, konkursów, orzeczeń i kwalifikowania piosenek. Słyszałem kilka wstrząsających anegdot, nie bez przerażenia przeczytałem historię drogi przez mękę piosenki Żabko-Potopowicza, choć historia była niby śmieszna. Wiem, że konkursów, zamówień, orzeczeń i kwalifikacji były dziesiątki, były setki. A piosenka? Znamy, znamy... — panny młodej wciąż brak.

Oczywiście nie można całej winy zrzucać na złych jurorów, wydawców i redaktorów. Część winy ponoszą poeci — część kompozytorzy. Stara to historia, że ślusarz zawinił, a kowala powiesili. W tym wypadku też można by ją przypomnieć, bo w gruncie rzeczy najbardziej ucierpieli... słuchacze.

Mała piosenka liryczna musi być prosta i wzruszająca. Rządzą nią te same prawa, co liryką poetycką. Poświęcona musi być ludzkim uczuciom, ludzkim wzruszeniom, ludzkim sprawom. Winna zawierać w sobie **prawdę psychologiczną** — i ta cecha musi stać się najwyższym kryterium jej oceny przez jurora, czy wydawcę — ta cecha winna być głównym powodem jej powstania.

Nie chcę, by mnie posądzono o chęć „odpolitycznienia" piosenki. Nic podobnego. Potrafi poeta przekazać w tekście piosenki swoje **wzruszenie** polityczne — pierwszy zacznę bić brawo. Ale pamiętajmy, że bez wzruszenia, bez szczerości i ludzkiej prawdy najbardziej nawet „upolitycznion**y**" tekst zrobi tylko złą robotę, znudzi i rozdrażni. Nie wołam też o piosenkę wyłącznie „o miłości". Nie należy jednak zapominać, że jest to uczucie cenne, bliskie każdemu człowiekowi i znane każdemu człowiekowi. Dlatego nie warto w nikogo wmawiać np. „trzaskania drzwiami", bo i tak nikt nie uwierzy, nawet w imię celów najszlachetniejszych. Kochać zaś można i swoją dziewczynę, i swoje dziecko, i swój dom, i swój kraj — trzeba tylko o tym pisać z prostotą i szczerością, w sposób wzruszający, czyli **prawdziwy.**

*

Lubię dobrą muzykę taneczną. I dlatego ośmielę się twierdzić, że na tym odcinku również dzieją się rzeczy, o których filozofom się nie śniło. Szczególnie zaś źle dzieje się pod tym względem w radio, w naszym radio.

Tak lubię, tak cenię i tak wzruszam się muzyką poważną, że nie znoszę złej muzyki lekkiej — „rozrywkowej" i tanecznej. Te rzeczy bowiem wiążą się, łączą — smak i kultura społeczna kształci się stale. Nie tylko w muzeach, teatrach i estradach koncertowych. Tzw. lekkie muzy też mają swój udział w kulturze narodowej. Daję to pod rozwagę wszystkim twórcom i opiekunom naszej muzyki „rozrywkowej" i tanecznej.

Cennym zjawiskiem, drogim, miłym i częstym gościem naszych sal i parkietów tanecznych jest polski taniec ludowy. Czasami jednak ogarnia mnie przerażenie i złość — jak niecieka**we**, nudne i jednostajne są ich układy, jak brak ambicji orkiestrom w harmonizacji, w artystycznym przetwarzaniu tych tańców. Prymitywna rytmika, nudna instrumentacja, już nie szkolna, a „przedszkolacka" harmonizacja — oto strój owego drogiego i cennego gościa. Doszło już do pomieszania kompetencji pomiędzy kapelą ludową a zespołem tanecznym i to wcale nie jest dobrze. Fakt ten świadczy tylko o ubóstwie środków, albo jednego, albo drugiego, albo obu razem zespołów.

Poza tym doszło do nierozsądnej przesady w walce z kosmopolityzmem w muzyce tanecznej. Dyrygentom i kierownikom muzycznym coś się pomyliło — i to bardzo! Samo słowo „jazz" wydaje się być bluźnierstwem. A tymczasem...

A tymczasem wylano z kąpielą i dziecko. Lubię dobrą muzykę taneczną i dlatego nie mogę słuchać antymuzycznych ekstrawagancji, bzdur i nonsensów najnowszego amerykańskiego „hot-jazzu". Uważam jednak, że Gershwin był dobrym kompozytorem — że ta muzyka taneczna, która wywodzi się z „Negro spirituals" nie jest ani kosmopolityczna ani antyhumanistyczna — że piękne są argentyńskie, brazylijskie i meksykańskie tańce ludowe, że nawet takie formy jak slow, blues, fox, itp. mogą być dobrą muzyką taneczną.

W efekcie dochodzi do dziwnego paradoksu. Muzyka taneczna wyjałowiona jest, uboga w repertuarze, jednostajna i nudna. Piękny polski taniec ludowy niszczą fatalne adaptacje. Z repertuaru zaś wyrzucono w imię walki z kosmopolityzmem wiele ciekawych i ładnych tańców ludowych, a także wiele dobrych muzycznie utworów jazzowych. Równocześnie zaś tzw. zespoły rozrywkowe częstują nas najgorszą i właśnie kosmopolityczną tandetą „serenad" z finde-siecle'u, równie estetycznych jak porcelanowe karzełki z napisem „Souvenir de Tirol". Tak, tak — stary, zatęchły, drobnoburżuazyjski kosmopolityzm straszy z estrad i głośników mimo wyciszenia „jazzu".

Istnieje teza, że nie można grać rumby, bolera, czy karioki w imię walki z chuligaństwem i bikiniarstwem. Czy nie jest to przypadkiem teza szczerze nonsensowna? Trzeba walczyć z bikiniarskim stylem tańca z „ramionkiem" zarzuconym na szyję, z epileptyczną, śmieszną drgawką, z falującym kuprem złych tancerzy, którzy tańczą w stylu, „jak mały Głuptaś wyobraża sobie taniec". Z tym trzeba walczyć, z tego trzeba się śmiać, to trzeba wykpić i wyplenić. Trzeba walczyć z pijaństwem i chamstwem na sali tanecznej — z bikiniarską karykaturą stroju i chuligańską karykaturą człowieka.

Zaprosić zaś trzeba na te sale i parkiety dobrą i ładną muzykę — nawet „jazzową",

JERZY BROSZKIEWICZ

W 160 rocznicę insurekcji

Powstanie ludu Warszawy

Prof. Łukasz Kurdybacha

DRUGI ROZBIÓR Polski zahamował gwałtownie dalszy rozwój stolicy, która w okresie debat sejmowych nad Konstytucją 3 maja stała się wielkim, stutysięcznym miastem, największym w kraju ośrodkiem przemysłu, banków i handlu. Odcięta od szerokich połaci kraju przypadłych zaborcom, odgrodzona wysokimi barierami celnymi rządu pruskiego od morza, musiała ograniczyć produkcję przemysłową, zmniejszyć poważnie eksport i import towarów.

Tragiczną niemal sytuację gospodarczą Warszawy pogarszał jeszcze dość liczny garnizon wojsk carowej Katarzyny, utrzymywany nie tylko dla wywierania nacisku politycznego na Stanisława Augusta oraz związanych z nim członków konfederacji targowickiej, ale także dla zapewnienia bezpieczeństwa tym właśnie sprzedajnym i najbardziej w Polsce znienawidzonym przez masy patriotyczne rodom najwyższej arystokracji i najbogatszej szlachty. Garnizon ten zakwaterowany po prywatnych domach nie tylko objadał Warszawę, ale symbolizował także przemoc ustroju feudalnego, przypominał plebejskim warstwom wszystkie krzywdy i niedole doznane od panów. Słowa piosenki powstańców kościuszkowskich wyznających bez żadnych obsłonek, że:

Ile jest w kraju księży, szlachty oraz panów,
Tyle jest sprzysiężonych na ludzkość tyranów —

nie były bynajmniej frazesem poetyckim, lecz wiernym wyrazem dążeń i nastrojów „pospólstwa" warszawskiego, które już w 1792 r. omal nie wystąpiło w krwawym buncie przeciw ciemiężcom rodzimego i obcego chowu.

ODROCZENIE przez lud warszawski zbrojnego powstania było wynikiem poważnych rozdźwięków między głównymi przywódcami spisku. Dzielą się oni z grubsza na dwa obozy. Pierwszy, początkowo znacznie silniejszy i wpływowszy, skupiał magnatów i bogatą szlachtę z Potockimi, Lubieńskim i Wybickim na czele. Ażeby nie dopuścić do wybuchu rewolucji w Polsce powstańczy obóz magnacko - szlachecki utrzymywał ścisły kontakt z królem, przeciwdziałał śmielszym reformom społecznym, na przywódcę powstania wysuwał nie Kościuszkę lecz ks. Józefa Poniatowskiego.

Druga grupa warszawskiego sprzysiężenia składała się z młodych wojskowych, bliskich współpracowników Kołłątaja i jego słynnej „Kuźnicy", utrzymującej bliskie stosunki z warszawskim ludem. Pod niewątpliwym tchnieniem Rewolucji Francuskiej radykalni członkowie sprzysiężenia domagali się surowych kar na zdrajców Targowicy, pociągnięcia do odpowiedzialności króla za przystąpienie do konfederacji targowickiej, odebrania bogatym przynajmniej połowy ich dochodów na rzecz skarbu publicznego, polepszenia sytuacji chłopów i wciągnięcia wszystkich warstw do współudziału w przygotowującym się powstaniu.

Siły i znaczenie radykalnej grupy przywódców sprzysiężenia warszawskiego wzmogły się znacznie, gdy w marcu 1794 r. przybył do stolicy wysłannik Kościuszki, Tomasz Maruszewski. Praca Maruszewskiego ożywiła niezwykle przygotowania powstańcze Warszawy. Każdej nocy niewidzialne ręce wypisywały na murach mobilizujące hasła, każdego niemal dnia rozpowszechniano rewolucyjne pisma ulotne, wiersze, agitacyjne broszury. Zreorganizowany przez Maruszewskiego Związek Rewolucyjny skupił obok reprezentantów postępowej szlachty bogate mieszczaństwo, a przede wszystkim najbardziej radykalnych przywódców ludowych. Widzimy wśród nich radykalnego publicystę „Kuźnicy" Kołłątajowskiej ks. Józefa Mejera, cieszącego się bezwzględnym zaufaniem najuboższej ludności. Obok niego stanął do pracy również współpracownik Kołłątaja Kazimierz Konopka, uwielbiany na Starym Mieście trybun ludowy; Wojciech Bogusławski, dyrektor teatru popularny szczególnie wśród ludu; poważny uczony Onufry Kopczyński, twórca obszernej gramatyki języka ojczystego i nieubłagany przeciwnik Targowicy; ruchliwy, o nieustraszonej odwadze ks. Florian Jelski, który w dniach powstania śpieszył z szablą na najbardziej zagrożone pozycje „dla usunięcia tej opinii, że stan duchowny do niczego się nie przykłada".

Ci radykalni spiskowcy pozyskali dla powstania nie tylko bogatego szewca Jana Kilińskiego, rzeźnika Józefa Sierakowskiego, kowala Jana Mariańskiego, ale także zwerbowali tysiące nieznanych i całkowicie zapomnianych czeladników i terminatorów rzemieślniczych, służących z różnych domów magnackich, biedotę bez określonego zawodu, wśród niej grupę Żydów na Lesznie, a nawet pewną ilość podwarszawskich chłopów. Wśród tych przyszłych nieustraszonych często żołnierzy krążyła jakże charakterystyczna piosenka:

Biliśmy się dosyć za panów,
Bijmy się teraz za siebie!

NIE BYŁY TO bynajmniej buńczuczne przechwałki. Gdy 17 kwietnia 1794 r. około godziny 5 rano zabrzmiały dzwony i huknęły działa na znak zaczynającego się powstania, około dziesięć tysięcy mieszkańców Starego Miasta, ul. Freta, Długiej, Miodowej, Franciszkańskiej, Leszna, Elektoralnej wyszło na ulicę rzucając się z gołymi często rękami na działa i uzbrojone pozycje wojsk carskich, rażąc wroga z dachów, strychów, bram, z każdego załomu muru.

Gdyby nie ofiarna pomoc ludu warszawskiego polskie siły wojskowe liczące zaledwie około 3 500 ludzi uległyby niechybnie przeszło dwukrotnej przewadze wojsk carskich. Tłumy ludności cywilnej dowodzone przez kilku zaledwie oficerów wyzwalają szybko najbliższe okolice arsenału, następnie oczyszczają po ciężkiej walce ul. Bonifraterską i Leszno, obsadzają pod dowództwem Kilińskiego pałac Krasińskich zmuszając do ucieczki doborowe oddziały carowej Katarzyny. W tym samym czasie polskie oddziały wojskowe odnoszą zwycięstwo na Placu Żelaznej Bramy, na Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu, na Placu Saskim. Polacy otaczają coraz ciaśniejszym pierścieniem ul. Miodową, na której broni się desperacko głównodowodzący wojsk rosyjskich gen. Igelström, zmuszony w końcu do kapitulacji. Powstanie kończy się pełnym zwycięstwem sprzysiężonych i bohaterskiego ludu warszawskiego, który w dwudniowych walkach stracił przeszło dwa tysiące zabitych.

JESZCZE NIE zdążono pogrzebać wszystkich poległych, jeszcze nie ugaszono wszystkich pożarów, a już reakcja targowicka otaczająca Stanisława Augusta zaczęła przemyśliwać, jak opanować i zgnębić dążenia ludu warszawskiego do wolności społecznej i niezależności politycznej. Już w parę dni po ustąpieniu z Warszawy Igelströma wysunięto projekt, aby broń w mieście pozostawić jedynie bogatemu mieszczaństwu, uzbrojone zaś „pospólstwo" wcielić w całości do szeregów wojskowych i wedle rady samego króla wysłać na front na najtrudniejsze odcinki, aby jak najprędzej wyginęło.

Odpowiedzią ludu była jeszcze większa nienawiść do zdradzieckich i sprzedajnych magnatów. W dniu 9 maja uzbrojone tłumy pod wodzą ks. Mejera opanowują ratusz, zmuszają prezydenta Zakrzewskiego do natychmiastowego zwołania sądu, który wydaje wyrok śmierci na zdrajców targowickich: biskupa Kossakowskiego, hetmana Ożarowskiego oraz członków znienawidzonej Rady Nieustającej: Ankwicza i Zabiełłę. Skazanych natychmiast powieszono na przygotowanych w nocy szubienicach. Do podobnych scen dochodzi 18 czerwca, gdy uzbrojone tłumy wywlekają z więzienia i wieszają biskupa Massalskiego, Czetwertyńskiego, Grabowskiego i innych.

Przerażona reakcja udaje się na skargę do Kościuszki, który ma odwagę stanąć po stronie ludu i ocenić sprawiedliwie jego zasługi. Lud burzy się tylko wtedy — pouczał Kościuszko reakcję swoich czasów — *„kiedy od rządu nie jest szanowany, kiedy go zięby zbytnie rządu umiarkowanie i opóźnienie sprawiedliwości... Ja zupełnie jestem względem ludu spokojnym. Znajduję go wszędzie mężnym, sprawiedliwym, powolnym i najgorliwiej stawającym w obronie ojczyzny".*

POWSTANIE ludu Warszawy nie przyniosło trwałych rezultatów; bohaterski i ofiarny zryw krzywdzonych i wyzyskiwanych mas plebejskich był jednak bardzo ważnym drogowskazem w przyszłość. Wykazał po raz pierwszy w dziejach Polski niedoceniane dotychczas siły warstw ludowych, ostrzegał sprzedajnych magnatów, że nie wolno bezkarnie handlować wolnością narodu i tuczyć się potem wyzyskiwanych mas plebejskich, pouczał wreszcie, że walkę o niepodległość należy złączyć ściśle z walką o wyzwolenie społeczne olbrzymiej większości narodu.

ŁUKASZ KURDYBACHA

Jeszcze raz o »internatach« medyków

Opinia wykładowcy o studentach

Po opublikowaniu w „Życiu" artykułu pt. „Kłopotliwe internaty warszawskich medyków" — otrzymaliśmy wypowiedź dr W. Jastrzębskiego, ordynatora oddziału ginekologiczno-położniczego szpitala nr 8 z ul. Solec 93. Nie jest to oficjalne wyjaśnienie kierownictwa tego szpitala na wymienione w poprzednim artykule żale i skargi studentów, odbywających zamknięte praktyki (które właśnie nazywają się „internatami") z położnictwa w szpitalach i klinikach warszawskich. Dr Jastrzębski, który prowadzi te praktyki ze studentami, zabiera głos jako dyskutant:

„Grupy studentów — pisze on — kierowanych na oddział, prowadzony przeze mnie, są bardzo niejednolite. Są studenci bardzo obowiązkowi, asystujący przy wszystkich zabiegach. Zadają pytania i interesują się tym działem. Nie trzeba ich wszędzie szukać, nie „zaszywają" się po kątach. Grzeczni, taktowni, wiele z praktyki korzystają i odchodząc dziękują za zdobytą wiedzę i umiejętność. Po uzyskaniu absolutorium wracają też często do szpitala, prosząc o możność dalszego uczenia się i korzystania z obserwacji — chętnie też są przyjmowani i dopuszczani do zabiegów. Są też i inni, którzy po przyjściu lekceważą pracę w tym oddziale. Siedzą w pokoju studenckim, czasem nawet grają w karty (co zostało w dwóch wypadkach ukrócone), często od początku zaznaczają, że idą na inne działy medycyny, a położnictwo traktują byle zbyć. Przy każdej sposobności uciekają z sali porodowej, a w nocy, jeżeli są większe zabiegi, trzeba ich wyszukiwać. Nie zdziwiła mnie wzmianka, że w klinice na Karowej schowano klucz od łazienki. W dwóch wypadkach na naszym oddziale studenci popsuli zamki, wkładając do otworów od klucza rozmaite przedmioty, co spowodowało, że personel lekarski nie mógł się dostać na oddział położniczy. Przy odejściu z internatu tacy studenci nie zawsze oddają powierzone im fartuchy, wobec czego trzeba było wprowadzić pewne rygory. Zresztą regulamin, wiszący w pokoju studenckim, zniknął jak kamfora".

Tyle o samych studentach. Następnie dr W. Jastrzębski potwierdza słuszność skarg studentów na różne niedociągnięcia organizacyjne w szpitalach. Stwierdza:

„Co do rękawiczek, to na razie mamy ich bardzo mało, i rzeczą wydziału zdrowia, czy też Min. Zdrowia jest naprawić ten stan rzeczy i zwiększyć budżet na wspomniane pozycje, nie mówiąc już o zwiększeniu kaloryczności jedzenia dla studentów, odbywających internaty".

I na zakończenie sprawa braku w szpitalach tzw. etatów dydaktycznych dla lekarzy szkolących studentów. Dr Jastrzębski twierdzi, że ten problem omawiano z rektoratem Akademii Medycznej i kierownictwem I Kliniki Ginekologicznej przed półtora rokiem. Do dziś jednak, mimo obietnic, niczego nie załatwiono. A trudności powiększa jeszcze fakt, że np. w szpitalu na Solcu, oprócz studentów, trzeba jeszcze szkolić słuchaczki szkoły felczerskiej, liceum felczerskiego i tzw. siostry operacyjne, kierowane tu na praktyki.

Zwiększenie liczby lekarzy szkolących w szpitalach, do których kierowani są studenci na praktyki, jest więc sprawą palącą, jeżeli praktyki mają dać młodym medykom zamierzone korzyści i doświadczenia. (Cen)

„Grzeczność nie jest rzeczą małą..."

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy". Kiedy rozważa się sposoby skutecznej walki ze zjawiskami brutalnego chamstwa, określanego mianem chuligaństwa, nie czas — może ktoś powie — włączać się do dyskusji ze sprawami znacznie mniej ważnymi i dokuczliwymi. Jakie to sprawy? Nazwijmy je ogólnie formami towarzyskimi, czy też lepiej formami obcowania z ludźmi w życiu codziennym — w domu, na ulicy, na wizycie, na zabawie, przy stole, w miejscu pracy — słowem wszędzie tam, gdzie człowiek spotyka się z człowiekiem.

Wydaje się jednak, że w toczącej się dyskusji o młodzieży — i tej młodzieży w większości swej zdrowej, dzielnej, ideowo mocnej, i tej błąkającej się po manowcach — spraw tych pomijać nie należy. Po pierwsze dlatego, że różnego rodzaju i stopnia mankamenty „demokratycznego savoir vivre'u" (żeby użyć określenia ze znanej rubryki „Przekroju") są widoczne nie tylko wśród chuliganów, ale także wśród młodzieży skądinąd rzetelnej i wartościowej. Po drugie — że mankamenty te bardzo często prowadzą prościutką drogą właśnie do chuligaństwa. Jeżeli się więc chce je zwalczyć, to trzeba przede wszystkim zwalczyć jego przyczyny — m. in. także i tutaj tkwiące.

To nie są »przesądy burżuazyjne«

Stary Sędzia w „Panu Tadeuszu" — obyczajem ludzi starych — narzekał:

„...co dzień postrzegam, jak młódź cierpi na tem,
że nie ma szkół uczących żyć
z ludźmi i światem..."

Nie ma tych szkół i dzisiaj. A „żyć z ludźmi i światem" to znaczy też zachowywać właśnie pewne formy towarzyskie, które polegają na narzuceniu sobie ograniczeń czy zwyczajowych obowiązków na rzecz innych ludzi, z którymi się społecznie obcuje. Raz jeszcze powołajmy się na mickiewiczowskiego Sędziego:

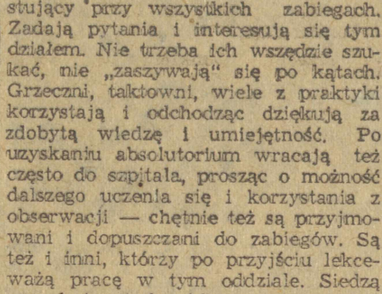

„...Grzeczność nie jest rzeczą małą:
Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,
Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,
Wtenczas i swoją ważność zarazem poznaje.
Jak na szalach żebyśmy nasz ciężar poznali,
Musim kogoś posadzić na przeciwnej szali".

Te formy towarzyskie życie nasze bardzo uprościło. Przestały istnieć te spośród nich, które odznaczały się pustą zewnętrznością, sztucznością, pretensjonalną galanterią czy bezmyślnością. Dziedziczyło je przedtem czy też małpowało z arystokratycznych wzorów mieszczaństwo, dawna podupadła szlachta, inteligencja. Zginęły np. bez śladu owe konieczne nie więcej niż dziesięć minut trwające, „pierwsze wizyty", na które wkładano w różnych okresach — smoking, „anglez", „jaskółkę" czy po prostu spodnie w paski, lub które załatwiano z pomocą w odpowiedni sposób zagiętych biletów wizytowych. Na szczęście coraz pełniej wychodzi z obiegu „cmoknonsens" — paskudny zwyczaj powszechnego całowania w rękę kobiet bez różnicy wieku i stopnia zażyłości, co oczywiście nie oznacza, by pocałunek w rękę we właściwej sytuacji i przy właściwym wyborze osoby był dowodem jakichś przestarzałych czy... wstecznych obyczajów.

Jak najbardziej słuszne uproszczenie współżycia ludzi z sobą nie może być jednak równoznaczne z wyeliminowaniem w ogóle wszelkich form towarzyskich przyjętych na mocy tradycji — tej dobrej tradycji — ułatwiających i upiększających życie codzienne. A zdarzają się tacy młodzi ludzie, którzy lekceważenie tych form uważają za snobistyczny „fason" lub nawet za dowód... postępowości, a ich przestrzeganie za „burżuazyjny przesąd" czy „mieszczański styl życia".

Nie trzeba się tu rozwodzić nad głupotą takiego rozumowania, choć nie można zaprzeczać, że tu i ówdzie się ono zdarza. Nie to jest jednak problemem najważniejszym. Braki w zachowaniu się młodzieży wynikają znacznie częściej nie z tych „światopoglądowych" podstaw, ale po prostu z nieświadomości. Uchylenie kapelusza czy powiedzenie: dzień dobry, właściwe zachowanie się przy stole, przedstawienie się komuś z kim się spotyka, utrzymanie odpowiedniego tonu i formy w rozmowie ze starszymi, ustąpienie miejsca czy pierwszeństwa komu należy, odpowiednie do sytuacji manewrowanie ręką i... kieszenią czy papierosem w zębach oraz dziesiątki innych mniej lub więcej ważnych drobiazgów, które w istocie nie są wcale drobiazgami — to z pewnością nie „burżuazyjne przesądy". Pełne równouprawnienie kobiet w naszym kraju stało się udziałem dopiero naszych czasów. Nie znaczy to jednak, by wyciągać z tego — a tak bywa — fałszywe wnioski i zapominać o „grzeczności, którą powinna młódź dla płci nadobnej" (to znów „Pan Tadeusz"!).

Stąd krok do chuligaństwa

Niedostatki we właściwym obcowaniu z ludźmi, przejawiające się w nieszanowaniu drugiego człowieka, bardzo łatwo przeradzają się w coś znacznie gorszego niż brak tzw. ogłady towarzyskiej. Od aroganckiego i nie liczącego się z nikim zachowania się np. w tramwaju niewielki tylko krok wiedzie do gorszących awantur, brutalnych wyzwisk, a nawet zdarzających się wypadków pobicia konduktora czy konduktorki. Ta sama droga prowadzi też różnych długowłosych młodzieńców do podstawiania nóg kobietom na ulicy lub wypalania papierosem dziur w pelisach, co również notują kroniki milicyjne. I nieraz konsekwencją tych samych braków bywają różnego rodzaju „grandy", organizowane na występach artystycznych w Domach Kultury, o czym pisała niejednokrotnie prasa, It.d. Znaleźliśmy się więc od razu w gronie chuliganów, a nie tylko młodych ludzi nie znających form towarzyskich.

Niewątpliwie jednak ci ostatni też istnieją, bynajmniej — jak powiedzieliśmy — nie zasługując na miano chuliganów. Na konieczność ich dobrego wychowania trzeba również, i to może jeszcze mocniej, zwrócić uwagę. Nie idzie tu o jakieś zgryźliwe utyskiwania. Może ktoś powie: ot, starszy facet, zapewne nawet z długą siwą brodą, chce się wymądrzyć, „ma za złe" i bawi się w kazania! Istotnie, jakiegoś tonu kaznodziejskiego nie da się zapewne w tych uwagach uniknąć, ale zdajemy sobie sprawę, że same kazania niewiele tu pomogą. Trzeba by pomyśleć o jakichś konkretnych środkach zaradczych.

Dobre wychowanie i dygresja o tańcu

Mówiąc o tym zagadnieniu musimy pamiętać o olbrzymich przemianach społecznych, które dokonały się w Polsce Ludowej. Musimy pamiętać, że setki tysięcy ludzi — przede wszystkim młodych — przeszło z zacofanej, prymitywnej, żyjącej nieraz w warunkach niemal półdzikich, dawnej wsi polskiej, do miasta — do szkół, na uniwersytet, do pracy. Ten imponujący i prawdziwie rewolucyjny awans społeczny nie zawsze mógł być połączony z awansem kulturalnym, w pełnym tego słowa znaczeniu czy awansem obyczajowym. Nie mamy się co dziwić, że ludzie ci, nieraz namiętnie garnący się do nauki czy z zapałem biorący się do pracy, nie zawsze wiedzieli, jak należy się zachować w różnych sytuacjach życiowych. Bo skąd mieli wiedzieć? Nie będzie też chyba przesadą, jeżeli powiemy, że bardzo mało się u nas zrobiło, aby im to ułatwić.

(Dokończenie na str. 5)

Dwa zeszyty instruktora Grygiela

(Od naszego specjalnego wysłannika)

Woj. bydgoskie

Szosa pięła się w górę. Grygiel był zły. Pożyczony rower szedł ciężko, a jego własny leży w sieni z połamaną ramą. Teraz! Kiedy ludzie wychodzą w pole. I na próżno dzisiaj po odprawie przymawiał się delikatnie o rower w powiecie — „kredytów brak" — przyjdzie mu samemu oddawać go do naprawy, choć połamał go instruktor z powiatu... 150 zł. Ładny grosz...

Od Wisły ciągnął ostry wiatr, dławił oddech, zrywał piersi suchym kaszlem. Ale się przeziębił! „Może by zastał jeszcze w Ośrodku lekarza? Przystanął na rozstaju, niezdecydowany. Do Pruszcza do lekarza, czy też do domu, aby coś zjeść przed wieczornym zebraniem w spółdzielni, czy do Lukszówka? Zawiadomić Jankowską, że przyznano jej kredyt na kupno krowy? Byłaby okazja dłużej z kobietą pogadać, od dawna nie podoba się Grygielowi to wdowie bytejakie gospodarowanie... Takie zabudowania i trzy hektary takiej ziemi w zaniedbaniu. W jego rodzinnym powiecie byłaby „bogaczką".

Zamajaczył mu nagle krajobraz dzieciństwa — gwarne, ludne wioski lubartowskie, pełne wrzasku taplającej się w błocie dzieciarni, kurzego gdakania, sąsiedzkich swarów i nieustającego babskiego lamentu. Zmurszałe chaty, wzrostu człowieka, na zimę obtykane naokoło mchem i gałęziami, wiosną starannie bielone wapnem. I pola w wąziutkie zagony, barwne, jak zapaski kobiet.

Właśnie dzisiaj zapytał go ktoś, czy chciałby wrócić w tamte strony. Przypomniał mu się zaraz smak postnego żuru na przednówku, ciężar kosy w żniwa i przeszywający ból w krzyżu od wydziabywania motyczką kartofli. Roześmiał się głośno sam do siebie: — Za nic. Pochylił głowę przed wiatrem i pedałując z wysiłkiem ruszył w dalszą drogę. Do Lukszówka.

JEDEN TYDZIEŃ

Muszą uczyć innych ucząc się sami, bo wielu z nich nie ma nawet ukończonej szkoły rolniczej. Jako aktywiści gminni niejako „z urzędu" muszą umieć łączyć swoje obowiązki z obowiązkami aktywisty, a czasem wręcz ostro się przeciwstawić, gdy wygodnickie prezydium GRN wysyła instruktora rolnego w związku z bieżącymi akcjami właśnie nie tam, gdzie dzisiaj powinien się znaleźć, jeżeli skutecznie ma walczyć o wzrost produkcji rolnej w swej gminie. Z podwód korzystać im nie wolno, rowery posiada garstka, a motocykle są nieziszczalnym dotąd marzeniem, przy tym do niedawna byli najniżej uposażonymi pracownikami GRN.

Jak pracują na codzień? Zapytajmy o to Wacława Grygiela, instruktora rolnego przy GRN Pruszcz Bagienny w pow. Świecie. O stanie gospodarki w gminie mówi rzeczowo i chętnie, ale o sobie tyle co nic. Nalegam. Zastanawia się chwilę i wreszcie wyciąga z połówki zielony zeszyt szkolny, starannie porubrykowany. — „Kontrolka" pobytu w terenie, może tak będzie łatwiej — pyta skrępowany. A więc co robił w ubiegłym tygodniu?

W poniedziałek — Comiesięczna odprawa w powiecie. Bieżące sprawy i szkolenie. **We wtorek** — w biurze — „ludzie się zgłaszają i papierków dużo...". **W środę i czwartek** był w Bagniewku, a także w Zawadzie. „Odłogi tam były. Zorganizowaliśmy trzy zespoły uprawowe"... **W piątek** — w Zbrachlinie. „Oj, tam było gorąco... Jest tam 19 ha opuszczonej ziemi. Chcieli ją rozebrać między siebie ci, co pracują w mieście. Na działki pod ziemniaki, ale na to ziemi tej szkoda. Gmina się więc nie zgodziła. Ale ani spółdzielcy ze Zbrachlina, ani indywidualni nie chcieli jej brać. Zmówili się, czy co? Zebranie trwało do 2 w nocy, ale — zdecydowali się wreszcie. Chodziło o to, wiecie, że to i pracy dużo na wyjałowionej ziemi i w pierwszym roku zysk mały". No, a sobota — przed południem w Cieleszynie, gdzie była sprawa ziarna siewnego, a wieczorem na zebraniu w „rodzinnej" spółdzielni produkcyjnej w Pruszczu, której członkiem jest jego siostra i gdzie mieszka on sam.

Grygiel jest bardzo zadowolony z „wyczerpującej" odpowiedzi, ja mniej. Wiem niewiele więcej niż przedtem. — No, a w niedzielę? — ryzykuję. Kontrolka ma tylko 6 rubryk, ale Grygiel pracował i w niedzielę. Do obiadu, w domu nad książkami, a wieczorem na zebraniu gromadzkim w Łowinie — „22 cieliczki zakontraktowali rolnicy tam jeszcze po IX Plenum. A teraz mówiło się o siewach i o tym, żeby kobiety zdecydowały się na zespołowy wychów kurcząt ze sztucznego wylęgu".. — Czegoż się uczył w niedzielę? Nowoczesnych metod uprawy tytoniu, kukurydzy i rzepaku. Bo agenci kontraktacyjni mało dają wskazówek jak uprawić, a rolnicy nie umiejąc, zniechęcają się.

Np. z tą kukurydzą, co za bieda. Siali ją rolnicy na polu — wydziobywały ją gawrony, zaczęli siać przy zabudowaniach, zadomowiły się tam kury... No i plan kontraktacji w gminie nie wykonany...

Aha, w niedzielę pisał jeszcze przed południem raport do powiatu. Skarżąc się na PGR Niewieścin, który uniemożliwił rolnikom szkolenie agrotechniczne w gromadzie.

Grygiel chowa do połówki zeszyt zielony i wtedy wypada mu z niej, inny — żółty. Pomięty, pogryzmolony spiesznymi, zamaszystymi notatkami. — Jeszcze jedna „kontrolka"? — pytam żartobliwie. — Nie, nie — bąka Grygiel, — to moje własne notatki, takie tam ludzkie sprawy. Przeważnie tych zza Bugu.

Stare krzywdy i tu wyrównał Rok Wyzwolenia. Z 75 majątków obszarniczych w pow. Świecie, stworzono 1230 gospodarstw średniorolnych. A 24 tys. ha ziemi, będącej do końca wojny własnością butnych, niemieckich kolonistów — przeszło prócz tego w ręce 3420 rodzin, przeważnie przesiedleńców zza Bugu i znad Wilii, komorniczej biedoty z kieleckich piasków i dawnych najemników tychże kolonistów.

Ponad 4 i pół tysiąca nowych gospodarstw to poważny problem również i gospodarczy. Dla wszystkich nie starczyło maszyn i narzędzi, budynków i inwentarza. Koloniści wywieźli do Heimatu co się dało. Dawni fornale pracować na ziemi umieli, ale nie znali się na prowadzeniu gospodarstwa, zabużanie i wilnianie przeniesieni w nowe odmienne warunki glebowe i klimatyczne z trudem przywykali do innych metod gospodarowania. Jedni uczyli się szybko, innych latami trzeba było uczyć rolniczego abecadła. Grygiel może dlatego, że sam pochodzi z biedniackiej rodziny chłopskiej, kiedy tu „nastał" przed czterema laty, właśnie ich zaczął najpilniej odwiedzać.

Bernard Łukasiak z Zawad, na swoich 12 ha przez trzy lata nie dawał się namówić na „ryzyko" rozszerzenia hodowli. Trzymał jedyną marną krowinę, którą przywiózł ze sobą z Polesia i 2 maciorki... 9-hektarowy rolnik z Wałdowic, Sławiński, nigdy za Bugiem nie uprawiał buraka cukrowego. Półtora roku musiał chodzić koło niego Grygiel jak koło panny, nim się zdecydował zakontraktować „na próbę" pół hektara.

Wasiłek z Bagniewka (11 ha) pochodzi z Kieleckiego i przywiózł stamtąd przekonanie, że tylko koniczyna daje mleczność krowom. W żadne inne mieszanki, popiony i inne „wymysły" nie wierzył. Przekonać go udało się Grygielowi dopiero za pośrednictwem przodującego rolnika z Gołuszyc, do którego pod jakimś pretekstem posłał Wasilka.

Kielczanie uczyli się od Pomorzaków uprawy buraków, stosowania maszyn, a wilnianie pokazywali im jak się hoduje len. Sąsiad przykładem swym wspierał zachętę instruktora. Dzisiaj podział na złych i dobrych gospodarzy niewiele ma wspólnego z miejscem urodzenia.

Np. Kujawiak z Łowina jest właśnie Pomorzakiem, ale to jeden z tych „co rękami pracują, a nie głową". W hodowli mu się „nie wiedzie", plony ma o połowę słabsze od sąsiadów. Zachęcał go Grygiel i sąsiedzi do kupna nawozów, kiszenia pasz na zimę, założenia lucernika. Na próżno. Prowadził Kujawiaka na swoje pola przodujący rolnik Jan Kurzeja — nie pomogło. Kiedy sąsiedzi poczęli mu przygadywać na zebraniach gromadzkich, przestał na nie w ogóle przychodzić.

— I to najtrudniejsze — mówi z zapałem Grygiel. — Ci garną się do „nowego", co już coś umieją; a tych, którym najbardziej pomocy i rady potrzeba dopadać musisz po chałupach.

— A jaka jest na to rada?

— Na upór jest tylko upór — mówi sentencjonalnie Grygiel.

*

Ziemia taje. Dołem rwie Wisła jeszcze w kryzie piany, wezbrana od deszczu; na spiętrzonych nad jej korytem wzgórzach mdłe kwietniowe słońce powoli nasyca barwą rozległe płachty ozimin. Z ceglanych zabudowań, rozrzuconych luźno w okolicy, ze wsi szeroko rozsiadłych, wzdłuż bitych dróg dochodzi odgłos zwyczajnej gospodarskiej krzątaniny. W pracy nad tym, aby wiosenny siew przyniósł jesienią wyższy plon niż w ub. roku, wziął również udział Wacław Grygiel, gminny instruktor rolny. Takich jak on jest wielu, a będzie co roku więcej.

HALSZKA BUCZYŃSKA

SPORT ... SPORT ... SPORT ... SPORT ... SPORT

WĘGIERSKA LEKCJA LEKKOATLETÓW
może przynieść rekordy Polski

— Że w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu to wiecie. Ale że w Budapeszcie nawet z patałachów robią mistrzów, tego może nie wiecie... — tymi słowami przemawiał wicemistrz Europy w 10-boju GIERUTTO do udających się do Budapesztu czołowych polskich lekkoatletów. — Ja jestem tego najlepszym przykładem. Po dwu tygodniach pobytu na Węgrzech zacząłem skakać o tyczce co najmniej pół metra więcej. z „trupa", który męczył się z wysokością 3 m stałem się groźny dla czołówki naszych tyczkarzy...

Z właściwym sobie humorem zachęcał Gierutto czołówkę naszych lekkoatletów do pilnego słuchania węgierskich mistrzów w czasie 2-tygodniowego pobytu polskich zawodników w pięknej stolicy naddunajskiej.

Pod koniec ubiegłego tygodnia do Budapesztu udali się: **Konikówna i Kozłowska, Andrzejczyk, Rut i Ciepły, Skupny i Lewandowski, Gizelewski i Weinberg, Iwański, Adamczyk i Janiszewski oraz Stawczyk, Baranowski, Szmidt i Goździalski.** Prócz nich trenerzy — Gierutto, M. Hoffman, Kozubek i Starybrat oraz lekarz — dr. Sidorowicz.

Dobór „słuchaczy węgierskich lekcji" nie jest przypadkowy, jak się przekonamy. Konikówna, Kozłowska i Andrzejczyk to trójka specjalistów rzutu dyskiem, nie mogąca spełnić od paru lat pokładanych w nich nadziei. **Konikówna** po 5 latach szarpania się we wszystkich rzutach skierowana została na dyskobolowy „uniwerek" (Węgrzy są od wielu lat specjalistami dysku) i może wreszcie dojdzie do wyników, które wróżono jej przed wielu laty, gdy jako juniorka zbliżała się do 40 m. Pobyt Konikówny na Węgrzech spełni swój cel jednak tylko wtedy, gdy Kolejarz, tak chciwy na punkty, nie powtórzy błędów przeszłości. Konikówna po doskonałych jak na juniorkę wynikach w dysku, zaczęła rzucać kulą i oszczepem i w dysku z prawie 40 m. zeszła na... 30 m., a do dziś nie wie co wybrać (w czym dzielnie sekundowali jej działacze zrzeszeniowi). Może Budapeszt wreszcie zdecyduje...

Z **Andrzejczykiem** jest inna sprawa — brak wzoru. Może Klics (rekord 53,44) wypleni siłowe zamiłowania Andrzejczyka i nerwowość. I może nasz zawodnik, który jako junior rzucał 42 metry, dojdzie do 50 m.

W rzucie młotem Węgrzy zdobyli złote medale olimpijskie w Londynie **(Nemeth)** i w Helsinkach **(Csermak).** Młot jest ich najsilniejszym chyba punktem i kto wie, czy Rut w takim towarzystwie nie dojdzie do wyników na światowym poziomie. Dobrze się stało, że partnerem Ruta jest rekordzista Polski juniorów **Ciepły.** To dowód troski o przyszłość. Trzecim młociarzem jest **Kozubek,** najlepszy nasz trener w tej konkurencji.

Trzecim **punktem jest sztafeta 4 × 100 m.** Węgrzy mając czwórkę słabszych od nas biegaczy potrafili zdobywać olimpijskie medale, my... Lepiej nie mówić o naszych zmianach. **Stawczyk, Baranowski, Szmidt, Goździalski** poznają u dobrych mistrzów sposób przekazywania pałeczki. I może wreszcie rekord nasz dojdzie do 41 sek.! Tylko pod warunkiem, że po powrocie z Węgier nie będą startowali każdy w innym mieście i — wszyscy na ostatniej zmianie — w klubowych sztafetach. Ta czwórka będzie musiała startować jak najczęściej razem, co nie wydaje się trudne. Stawczyk, Baranowski to Poznań, Gozdzialski — Bydgoszcz... Nawet trenować razem mogą, jeśli o tym będziemy pamiętali.

Iwański dostanie takiego partnera jak najlepszy skoczek w dal w Europie Foeldessi (776), **Adamczyk i Janiszewski** uczyć się będą tajemnic tyczki u dr Hommonaya (430). Pozostali nasi skoczkowie też z pewnością nie wystąpią jako nauczyciele. **Lewandowski i Skupny** mają oduczyć się skoków na bosaka (dobrze utrzymane skocznie od tego ich odzwyczają). Prócz tego może znajdą kolce dla siebie najwłaściwsze (z braku ich skaczą boso) i zbliżymy się do 2 m w skoku wzwyż.

Jedynie **Weinberg i Gizelewski** mogą pretendować do roli nauczycieli, a nie uczniów (trójskok jest najsłabszą konkurencją węgierskiej lekkoatletyki). To jest nieproporcjonalnie mała wymiana w stosunku do tego, co zamierzają dać nam Węgrzy. Rozumieją to chyba nasi lekkoatleci i z węgierskiej nauki, którą pobierać będą pod kierunkiem Gierutty, M. Hoffmana, Kozubka i Starybrata wyciągną jak najwięcej, wzorem Gierutty sprzed 20 lat!

Podziękujmy Węgrom za lekcję z góry, a naszym lekkoatletom pozostawmy resztę — rekordy, które mogą być jedyną spłatą długu wdzięczności za bezpłatną naukę u serdecznych przyjaciół. (rp).

Okręgowy Raid Kolarski PTTK

Niezwykle atrakcyjny raid kolarski organizuje Okręg Warszawski PTTK dla uczczenia 10-lecia PRL na malowniczych trasach woj. warszawskiego, łódzkiego i bydgoskiego.

Raid kolarski będzie przygotowaniem do odbywających się 9 maja ZMP-owskich kolarskich raidów pokoju. Start do tego turystycznego raidu trwającego 4 dni, odbędzie się 1 Maja, po zakończeniu defilady, w której raidowcy wezmą udział.

W raidzie mogą wziąć udział drużyny zarówno młodzieżowe jak i dorosłych. Uczestnicy raidu zdobywają punkty do Kolarskiej Odznaki Turystycznej PTTK. Szczegółowych informacji udziela i zapisy przyjmuje do 20 kwietnia br. Okręg Warszawski PTTK, ul. Pankiewicza 4, oraz Oddział Warszawski — Stary Rynek 23.

Wojciech Żukrowski rys. Aleksander Kobzdej

RACHUNEK KRZYWD
(Dziennik podróży) (30)

SCHODZILIŚMY stromą ścieżką w kotlinę, gdzie między kępami bambusów ukryły się chałupy. Krzewy były ciężkie od wody, o zmierzchu spadła krótka, ciepła ulewa. Podpierałem się ogonkiem liścia palmowego, długim na półtora metra, zaostrzony koniec wbijał się głęboko w gliniastą glebę. Noc pachniała mocno namokłą zielenią, stawami, rzęsą... W oparach rozmazywały się światła gwiazd.

— Oni już się zebrali — tłumaczyła Fan thi Ann — wchodzicie i siadacie w kącie... Bez powitań, żeby nie przeszkadzać.

Chałupę dostrzegłem po światłach, które błyskały spod belek, niska szopa, dołem obłożona kamieniami. Słychać było tylko jeden głos, jakby śpiewną recytację. Gdy uchylono drzwi, wcisnęliśmy się z trudem. Na drewnianym blacie położonym na ziemi siedzieli ciasno chłopi, w koło stały malutkie lampki oliwne. W prawym kącie zebrały się kobiety. Było cicho, tylko westchnienia zasłuchanej gromady, kwilenie dziecka kołysanego przy piersi.

Podłożono nam deskę, usiedliśmy w kucki. Nasze wejście zaskoczyło zebranych, zauważyłem popłoch na twarzach, ale żołnierze zaraz uspokoili gromadę, że jesteśmy przyjaciółmi.

— To wasze buty — szepnęła Fan thi Ann — ich zgrzyt na kamieniach podwórza kojarzy się z Francuzami... Nadchodzący patrol też słychać z daleka. Nasz przyjazd był trzymany w tajemnicy, Jesteśmy za blisko frontu.

Przyglądano nam się przez chwilę, ale rychło zainteresowanie wygasło. Olek cicho rozłożył swój blok, podsunięto mu lampkę, zaczął na klęczkach malować. Twarze wszystkich zwróciły się ku opowiadającemu. Mówił powoli, z namysłem, odważał każde słowo. Chwilami cichł zamyślony, wtedy słyszałem basowe rechotanie żaby bawolej na polu ryżowym, melodyjne ciurkanie wody, ściekającej z bambusowego koryta.

— Moi rodzice mieli czworo dzieci, jedno zmarło wcześnie, nie pamiętam jak się nazywało — opowiadał półgłosem — zostało nas troje, dwóch braci i siostra. Było nam bardzo ciężko, raz dziennie jedliśmy ryż... Robaki podgryzały korzonki wykłoszonego ryżu, pole nam zmarniało i mój ojciec nie mógł wypłacić dzierżawy... Oddał mnie wtedy panu Fien, byłem zastawem, za piętnaście piastrów... Pan obiecywał mi, że nie będę u niego głodny, że da mi odzienie, a jak dorosnę znajdzie dla mnie dobrą żonę... Żadnej obietnicy nie dotrzymał.

Umilkł, siedział z twarzą nieruchomą, patrzył w pełgający blask lampki. Oświetlała jego sękate palce i zrogowaciałe stopy. Z postrzępionych samodziałowych portek, odruchowo oderwał nitkę. Słyszałem głębokie oddechy zebranych, metaliczne dzwonienie wody, ściekającej w ryżowe pole.

— Kiedy urosłem, zginęła panu kasetka z kosztownościami... Było tak. Pan poszedł na targ, a mnie kazał pilnować domu. Plewiłem grzędy w ogrodzie. Kiedy wrócił podniósł krzyk, że mu otwarto skrytkę w podłodze, skradziono pieniądze i srebrne łańcuszki, przepadły też dokumenty, kwity dzierżawne i umowy. Zawołał Mana, naszego sołtysa na śledztwo. Pokazało się, że na dnie schowanka była szkatułka, znalazły się nauszniki, pierścienie i łańcuszki, brakowało tylko pieniędzy i papierów.

Man zapytał mego pana, kogo podejrzewa o kradzież. Ten powiedział, że tylko ja byłem przed domem. Kazano mi wpełznąć do podziemnego korytarzyka, ale nie mieściłem się, więc bito mnie i kopano, żebym się nie nadymał, tylko pokazał jak kradłem. Tłumaczyłem, że jestem niewinny ale oni zamknęli mnie w areszcie przy gminie.

W nocy przypomniałem sobie, że pan poprzedniego dnia pożyczał pieniądze jednemu z sąsiadów, a potem drugiemu, więc te kwoty nie zginęły. Zeznałem to sołtysowi, a dłużnicy potwierdzili, że mówię prawdę. Więc zginęły tylko kontrakty, a tych nie wziął żaden złodziej. Pan zbił mnie, że tak późno sobie przypomniałem, ale był bardzo zły, jego plan się nie udał, on chciał oszukać dzierżawców... Za karę, że źle pilnowałem domu, skazano mnie na dwa tygodnie aresztu.

Ale rychło Man doszedł do wniosku, że w areszcie tylko leniuchuję i odkupił mnie od Fiena. Miałem u niego przepracować trzy lata, za każdy rok miał mi odliczać pięć piastrów tak, że wydawało mi się, iż niedługo będę wolny...

Za całą moją pracę, a starałem się ze wszystkich sił, bo groził, że mi dwa piastry na rok odliczy, dostałem dwie chustki i jedną starą koszulę.

Kiedy odchodziłem, w nagrodę dał mi dwa kilogramy ryżu. Gdy przyszedłem do naszej chałupy, nie zastałem nikogo. Dzień przedtem zmarła moja matka. Dom był pusty, wyniesiono rzeczy, oprócz wystrzępionej maty, na której leżały zwłoki. Wszystko zabrał Fien za dawne, niekończące się długi. Ojciec był w pracy bardzo daleko, mój brat był u sąsiada, za samo wyżywienie obrabiał mu pole. Pochowałem matkę bez trumny...

Zmęczonym ruchem przetarł czoło i powieki. Słyszałem westchnienia zasłuchanych kobiet. Nagle zatrzeszczały ściany chaty, świnia czochrała się o węgieł, potem pokłusowała, racice lepko zaciapkały w rozmokłej ścieżce.

— Miałem dom. Ożeniłem się. Obaje z żoną najmowaliśmy się do pracy. Miałem dziecko, ale mi zmarło... Zostawało bez opieki, może się otruło, może wąż je ugryzł.

Mówicie, żebym policzył ile ryżu zabrał mi pan — pochylił się, wziął garść kamyków, powoli je układał w szeregi, potem zgarniał rządek i zastępował jednym, większym. Chłopi patrzyli w napięciu.

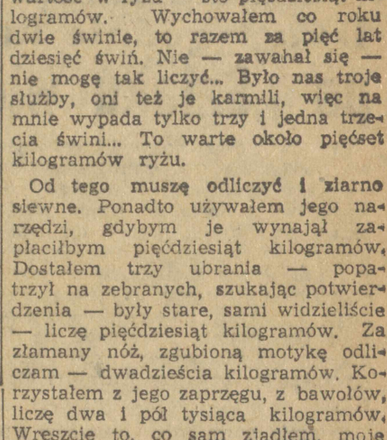

Zebranie

— Pięć lat pracowałem u pana Fiena, liczę tylko to, co uprawiłem swoimi rękami, a więc dwa „mu" pola, każdy „mu" daje czternaście koszyków. Pięć lat po dwa „mu", to zbiór z dziesięciu „mu". Urodzaje były różne, liczę najniższy plon nie sto dwadzieścia, ale sto kilogramów, ja mogę być hojny — to daje czternaście tysięcy kilogramów ziarna.

Położył twardo duży kamyk, przy nim cztery mniejsze. Pisałem uważnie:

— Grzędy fasoli, za pięć lat, ich wartość w ryżu — sto pięćdziesiąt kilogramów. Wychowałem co roku dwie świnie, to razem za pięć lat dziesięć świń. Nie — zawahał się — nie mogę tak liczyć... Było nas troje służby, oni też je karmili, więc na mnie wypada tylko trzy i jedna trzecia świni... To warte około pięćset kilogramów ryżu.

Od tego muszę odliczyć i ziarno siewne. Ponadto używałem jego narzędzi, gdybym je wynajął zapłaciłbym pięćdziesiąt kilogramów. Dostałem trzy ubrania — popatrzył na zebranych, szukając potwierdzenia — były stare, sami widzieliście — liczę pięćdziesiąt kilogramów. Za złamany nóż, zgubioną motykę odliczam — dwadzieścia kilogramów. Korzystałem z jego zaprzęgu, z bawołów, liczę dwa i pół tysiąca kilogramów. Wreszcie to, co sam zjadłem, moje wyżywienie, czterysta pięćdziesiąt kilogramów, razem dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt. Razem jestem winien panu — dwa tysiące pięćset siedemdziesiąt kilogramów ryżu.

Wszyscy nachylili się, słyszałem ich niespokojne oddechy. Uważnie śledzili rękę kładącą kamyki, sprawdzali rachunek.

— Moja praca dała panu czternaście tysięcy sześćset pięćdziesiąt kilogramów ziarna, winien mu jestem za wyżywienie, bawoły, sprzęt i odzież — dwa tysiące pięćset siedemdziesiąt. Oddaję wszystko — zgarnął dłonią kamyki — czyli, że pan miał ze mnie zysk — zawahał się, jakby nie wierzył własnym oczom — dwanaście tysięcy osiemdziesiąt kilogramów ziarna.

Milczeli. Była cisza. Oszołomiła ich ogromna cyfra łupu wyzyskiwacza. Zaczęli gorączkowo sprawdzać. Szeptali między sobą, ale zgadzało się, obszarnik zagarnął dwanaście ton ryżu.

Drugi rachunek dla Mana wyniósł pięć tysięcy pięćset osiemdziesiąt pięć kilogramów.

— Dlaczego on teraz liczy więcej? — zapytałem nieufnie.

— Lepsze pole. Man był sołtysem wyłudzał żyźniejsze grunta — odpowiedział szeptem ten z kadry, student w okularach.

— W sumie za osiem lat straciłem siedemnaście tysięcy sześćset sześćdziesiąt pięć kilogramów ryżu, byłbym bogatym człowiekiem — zadumał się nad rachunkiem. — Byłoby żyło moje dziecko...

Teraz poruszyli się wszyscy, zaczęto wołać:

— Nie policzyłeś ile pracowałeś na innych polach... Przecież on cię pożyczał sąsiadom za opłatą!

— Zapomniałeś o nawozie z bawołów, sam je pasłeś, więc gnój do ciebie należy — przypominano.

— Przeklęci wyzyskiwacze!

— Teraz widzimy skąd się bierze ich bogactwo!

— Oni nas pożerają żywcem! Nas i nasze dzieci!

— Musimy się z nimi rozprawić! Musimy im odebrać nasz ryż!

Huczały głosy, dźwigali się ludzie, wygrażali pięściami.

— Oni się waszych krzyków nie przelękną — powiedział siwy pisarz, który pod ścianą palił fajkę — musicie wszyscy poznać swoje straty. Musicie razem wystąpić. Bronić jeden drugiego. Widzicie, pojedynczo padaliście ofiarą wyzysku. Teraz jeśli chcecie swoje odebrać i raz na zawsze uchronić się od nędzy, musicie stać się siłą! Musicie zaufać jeden drugiemu, stać się jedną rodziną, bronić się wzajemnie, choćby przyszło przelać krew, dać głowę...

— Warto stracić życie — odezwał się ochryple Dac — żeby moje dzieci żyły wolne... Ci, którzy z nas ssali krew, są gorsi od Francuzów, siedzą w wiosce, pośród nas, ukryci, jak kon-waty pod liśćmi... Udają, że są tacy jak my... Łżą, że są naszymi dobroczyńcami, bo nam raczą wydzierżawić pole, które naszym przodkom ukradli... Dziś nie mamy pola, więc ukradną nam nasze siły, wydziobują nam tyż z misek...

D. c. n.

(Dokończenie ze str. 4)

Oczywiście, akcja kulturalna prowadzona przez świetlice, domy kultury czy hotele robotnicze — jeżeli jest ona prowadzona, a to przecież nie jest bynajmniej zjawiskiem powszechnym! — ma tu wielkie znaczenie, bo wraz z podniesieniem ogólnej kultury idzie również podniesienie kultury życia codziennego. Ale wydaje się, że sprawy tzw. dobrego wychowania powinny także i poza tą akcją stać się przedmiotem uwagi w działalności organizacji społecznych i powołanych do tego instytucji. Nie byłoby chyba niczym dziwnym, gdyby np. zajęło się nimi ZMP i postawiło je na swych zebraniach jako problem bodaj dyskusyjny. Bo poza sprawami bezspornymi życie także w tym zakresie stwarza zagadnienia, których rozcięcie od jednego zamachu nie jest takie proste.

W całej tej akcji należałoby szukać nowych form wychowawczych i wykorzystywać do tego celu różnego rodzaju sposobności.

Weźmy np. lekcje tańców. Dlaczego zapomniano o nich prawie zupełnie? Nie idzie tu o wznowienie elitarnych przedwojennych „kompletów", ale o organizowanie takich lekcji w świetlicach czy szkołach. Taniec jest dla młodzieży bardzo atrakcyjną rozrywką. A jak wiele można przy jej okazji przemycić wskazówek dotyczących właściwego zachowania się młodego człowieka! Nie mówiąc już o tym, że podniosłoby się w ten sposób w ogóle kulturę tańca, która u nas na ogół przedstawia się dość żałośnie. Przypomnijmy, że z naszych zabaw zniknęły już doszczętnie tak piękne tańce narodowe jak mazur, dlatego właśnie, że przy ich tańczeniu nie wystarczy tylko mniej lub więcej rytmiczne podrygiwanie, ale potrzebna jest pewna wyuczona umiejętność. Ba, z walcem jest już nawet bardzo niedobrze... Ale skończmy już te choreograficzne rozważania, jakkolwiek — wydaje się — nie należałoby ich traktować z lekceważącym uśmiechem.

Oczywiście, bardzo wielką rolę w zdobyciu dobrych form obyczajowych powinna odegrać szkoła i dom rodzinny. Ten ostatni jest szczególnie ważny, a niestety, dziecko nie zawsze znajduje tu właściwy przykład. Od przykładu zaś tego bardzo wiele zależy — na całe późniejsze życie.

Od przykładu i nauki od wczesnego dzieciństwa. Przypomnijmy słowa Andrzeja Frycza Modrzewskiego, który w „Księdze o obyczajach" dzieła „O poprawie Rzeczypospolitej" pisał:

„A i tego trzeba dzieci uczyć, co winne są innym, co rodzicom, co obywatelom, co Rzeczypospolitej i jak winny zgodę i towarzystwo z ludźmi utrzymywać, jak się mają zachować wobec wyższych, niższych i równych sobie, wobec towarzyszy, przyjaciół, krewnych i powinowatych...".

Demokracja to nie pajdokracja

Jeśli mowa o wychowaniu młodzieży, to warto jeszcze na jedną sprawę zwrócić uwagę. Słusznie szczycimy się, że nasz ustrój daje olbrzymią szansę właśnie młodzieży. Troska o nią, udostępnienie jej wszelkich możliwości rozwoju i otwarcie szerokich perspektyw na przyszłość to jedna z najpiękniejszych cech naszego życia. „Dziś młodzież ma głos" — śpiewa się w hymnie młodzieży. Nie mamy zamiaru proponować zmiany słów tej ładnej pieśni, ale wydaje się, że młodzież — z właściwą młodości bezwzględnością — wyciąga nieraz z tego nieoczekiwane konsekwencje. Przywileje swe uważa za rzecz oczywistą i samo przez się zrozumiałą. Skłonna jest nieraz więcej wymagać niż dawać — z pewnością siebie tym większą, im słabsze posiada ona rzeczywiste pokrycie. Skłonna jest lekceważyć autorytet i doświadczenie starszych.

Oczywiście, zbyt pochopne uogólnianie byłoby tu może niebezpieczne, ale niewątpliwie zjawiska takie istnieją. I wypaczają one nieraz sens niejednej naszej zdobyczy demokratycznej. Weźmy jeden przykład: narady produkcyjne na wyższych uczelniach. Jest na pewno coś bardzo niezwykłego dla tych, co znają dawne uniwersytety, i coś zarazem bardzo pożytecznego w tej swobodnej ocenie wspólnej pracy profesorów i studentów. Ale źle się dzieje, kiedy ta ocena przeradza się — a to się też zdarza — w wymądrzanie się niedouczonych młodzieńców, którzy z równą dozą tupetu co i lekkomyślności ruszają do ataku na swych profesorów. Wtedy demokracja zamienia się w pajdokrację (władzę dzieci), a ta nie jest dobrą metodą wychowawczą i nie daje sprzyjającej atmosfery dla wytworzenia się odpowiednich form obyczajowych naszej młodzieży.

Wykroczyliśmy już właściwie poza zasięg zagadnień zakreślony na początku. Ale tak już jest, że raz po raz zahaczają one o inne, szersze dziedziny i ze spraw pozornie błahych, „towarzyskich" stają się problemami w ogóle moralności socjalistycznej, której mocne okrzepnięcie jest kwestią tak niezmiernie ważną dla życia całego naszego narodu.

AUGUST GRODZICKI

12 godzin na olsztyńskiej „Starówce"

STARE MIASTO - JUŻ NOWE

Kiedy w wiosenny jasny ranek 1954 r. cień rzucany przez wskazówkę słonecznego zegara na starym ratuszu ustawi się między 6 a 7 i ulice zaczynają rozbrzmiewać stukotem kroków ludzi zdążających do pracy, wtedy w mieszkaniu przy ul. Marchlewskiego 27 wstaje dwu i półroczny Marek Welsyng. Za godzinę Marek na ojcowskim ramieniu, czasem w wózku, czasem samodzielnie obok matki i ojca śpieszących do pracy udaje się do żłobka. Mieszkanie na II piętrze przy ul. Marchlewskiego 27 pustoszeje...

Pustoszeją i inne mieszkania przy Marchlewskiego, na Starym Rynku, przy Staromiejskiej. Ludzie ze Starego Miasta idą do pracy.

W tym czasie ze wszystkich stron Olsztyna i spoza Olsztyna ściągają tu robotnicy. Uparcie, systematycznie usuwane są gruzy, powstają nowe wykopy, fundamenty, mury. W biurze dyrekcji budowy osiedli robotniczych, w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego, przy planach, rysunkach, dostawach, słowa: „Stare Miasto" powtarza się często. Olsztyńskie Stare Miasto...

✻

Kilkanaście nowych, czerwonych bloków istniejącego, żyjącego dziś Starego Miasta to przecież nie wszystko i niesposób po dzisiejszym jego wyglądzie wyrobić sobie zdanie, jak będzie się ono prezentować w przyszłości. Dokumenty — projekt zabudowy Rynku od strony zachodniej mówi:

Fasady będą wykończone w tynku barwionym z motywami malarskimi i rzeźbiarskimi. Gzymsy, oporki, i spływy szczytów wykonane będą w tynku szlachetnym, niektóre elementy zostaną wyrzeźbione w kamieniu, sklepienia w podcieniach wykonane na siatce ceramicznej. Dębowe drzwi i ręcznie kute latarnie, balustrady, kraty..."

Tu, na zachodniej stronie Rynku koncentrują się obecnie prace budowlane. Tu stanie blok pięciu domów z kilkudziesięcioma mieszkaniami, który pomieści od ul. Kołłątaja aptekę o 250 m kw. powierzchni, „dom dziecka" — 185 m kw., (ul. Marchlewskiego), sklep artykułów muzycznych — 70 m kw. i pracownię plastyczną o 175 m kw. powierzchni. Na Starym Mieście będziemy mieli również sklep z delikatesami.

To tylko jedna strona Rynku, ale w niedługim już czasie ozdobne, utrzymane w zabytkowym stylu kamieniczki szczelnie oblegną jego czworobok. Czerwone, surowe dziś jeszcze elewacje domów przybiorą kolorową, różnobarwną szatę. **Olsztyńska „Starówka" rozrośnie się wzdłuż ulic Kołłątaja, Marchlewskiego, Staromiejskiej, powstaną domy na placu Świerczewskiego,** słowem tam wszędzie, gdzie stały ongiś. Powstaną już niedługo.

✻

A tymczasem w wiośnianym słońcu cień zegara na starym ratuszu mija dwunastą. Świeża ziemia znaczy wydrążone dziś wykopy. Grupka wracających ze szkoły małych chłopców zatrzymała się na placu budowy przy ul. Marchlewskiego i Staszica. Teczki odłożone na bok. Jeden z nich wrzuca żwir na stojące ukośnie duże sito. — Co tu robisz — zapytuję surowo. Duże, ciemne oczy chłopca patrzą z wyrzutem (pewnie nie może zrozumieć). — Jak to co robię? Pomagam budować Stare Miasto!

Teraz już rozumiem go. Rozumiemy się wspólnie...

✻

Mieszkańcy nowych domów Starego Miasta wracają z pracy, zaludniają się mieszkania. Mareczek Welsyng harcuje po pokoju, kręci gałką „Pioniera", wspina się na okno przypatrując się dzwoniącym tramwajom, aż wyhasawszy się usypia, znużony na kolanach matki. W mieszkaniach nowych domów Starego Miasta rozgaszcza się spokojne życie rodzinne. Miękki fotel przy radioodbiorniku, książka, gazety, szlafrok, pantofle... Zapalone światła odbijają się we froterowanych podłogach. Dzieci kończą szkolne zadania. Stare Miasto oddycha życiem rodzinnym.

✻

Mieszkańcy olsztyńskiej „Starówki" to jakby nowy typ człowieka. Nawet nie „jakby", ale naprawdę nowy. Doskonałe urządzenia, wygody, jakie tylko dać może lokatorowi nowoczesna technika wywarły na nich wpływ niemały. Są nowi w swym stosunku do otrzymanych mieszkań i ich urządzeń, w swych wymaganiach wobec budowniczych staromiejskich domów, nowi w estetycznym, gustownym urządzeniu wnętrza mieszkań. I choć mieszkają w nich od roku i więcej, mieszkania te są dla nich stale „nowe".

Zwiedziliśmy ich kilkanaście. Wszędzie ta sama dbałość, porządek, spokój. Mimo różnych zawodów posiadaczy mieszkań, ich sposób życia jest prawie jednolity, który można krótko określić — właśnie „nowy".

✻

Marek Welsyng śpi już w łóżeczku, zegar słoneczny już nie działa, tramwaje zjeżdżają do zajezdni... Bywalcy „Awangardy" i „Staromiejskiej" rozproszyli się po mieście. Gasną światła w oknach Starego Miasta.

Przez rynek idzie nie śpiesząc się dwoje ludzi. Często przystają. On pokazuje jej domy, młody śmiech wsiąka w nowe mury Starego Miasta. Weszli w uliczkę wiodącą do zamku. Jeszcze raz się odwrócili spoglądając na wyraźne kontury trzech stron rynku.

Gdybym twierdził, że mówili, jak dobrze by było zamieszkać razem na Starym Mieście — pewnie bym się nie omylił...

KAZIMIERZ RUCZYŃSKI

Kwiecień — plecień...

No, ale że wiosna sprawi nam takiego figla — tegośmy się nie spodziewali. Chociaż nauczeni zeszłorocznym doświadczeniem niektórzy przepowiadali, że „zawcześnie jeszcze mówić hop!". I okazało się, że mieli rację. Niespodziewanie w ub. środę Olsztyn obudził się w śnieżnej szacie. Oczywiście śnieg niezbyt długo leżał na ulicach, zaraz przemieniając się w... błoto. Miejmy jednak nadzieję, że na tym śniegu i przymrozkach skończyło się ostatecznie „panowanie" zimy. Ze świątecznego spaceru korzystać będziemy mogli na pewno gremialnie i radować się widocznymi odgłosami wiosny. Tak jak zrobiła to 6-letnia Alina Sosnowska, na razie „uczennica" przedszkola w odległym od Olsztyna Lelkowie pow. braniewskiego. Ona dla mamusi od... wiosny uzbierała w prezencie pęk pięknych bazi.

Foto Kazimierz Adaś

Samolotem... z Paryża

Otrzymaliśmy pierwszy transport narybku węgorza

Tak, jak w latach ubiegłych, tak i w tym roku przeprowadzana zostanie kampania zarybieniowa naszych jezior narybkiem węgorza. Pierwsze transporty węgorza nadeszły już do ośrodków zarybieniowych PGR.

Narybek węgorza został dostarczony do Warszawy samolotem z Paryża. **Pierwszy transport zawierał 200 tys. narybku.** Umieszczony on został w ośrodku hodowlanym Polskiego Związku Wędkarskiego na Czerniakowie, skąd następnie transportowany jest do ośrodków rybackich w kraju, a m. in. na nasz teren.

Polska zmuszona jest importować narybek węgorza, gdyż ta najbardziej tajemnicza ryba naszych rzek i jezior nie rozmnaża się w naszych warunkach. **Małe węgorze odławia się masowo u ujścia rzek Francji, Anglii i Niemiech zachodnich, dokąd przybywają one wielkimi ławicami po dwuletniej wędrówce poprzez ocean Atlantycki, z Morza Sargasowego i Zatoki Meksykańskiej — nielicznych miejsc na świecie, gdzie węgorze na wielkich głębokościach składają ikrę. Tam też lęgną się młode węgorzyki i stamtąd wyruszają następnie w drogę do rzek i jezior Europy.**

Narybek węgorza pojawia się również u ujścia rzek woj. szczecińskiego. Występuje on tam jednak w znikomej ilości, która nie jest w możności pokryć naszego zapotrzebowania. (p)

Dwa tygodnie kajakiem

po „Szlaku wielkich jezior"

(l) Już nieraz notowaliśmy objawy wzrastającego zainteresowania walorami turystycznymi naszego województwa zarówno ze strony władz centralnych, jak i organizacji społecznych w innych dzielnicach Polski. Inicjatywie zamiejscowych czynników zawdzięczamy niejedną ciekawą i twórczą innowację, ktora w niemałym stopniu przyczyniła się do rozwoju ruchu wypoczynkowo-turystycznego na obszarze Warmii i Mazur.

Ostatnio nową formę wczasów ruchomych wprowadza u nas komitet do spraw turystyki przy prezydium MRN. Zlecił on mianowicie miejscowemu oddziałowi PTTK zorganizowanie w lipcu i sierpniu br. na szlaku Wielkich Jezior dwutygodniowych wczasów kajakowych dla 2.500 uczestników ze świata pracy. W myśl wskazówek komitetu 20-osobowe grupy kajakowców będą w tym okresie wyruszać co dzień z punktów wyjściowych w Węgorzewie i w grom. Wiartel (Puszcza Piska) naprzeciw sobie, mijając się w połowie tej drogi wodnej.

Miejscowy zarząd urządzeń turystycznych PTTK dostarczy im potrzebną liczbę kajaków, namiotów, kuchen przenośnych, kompletów pościelowych itd.

Ta nowa forma wczasów ruchomych na drodze wielkich jezior wprowadzona zostanie w tym roku na miejsce wycieczek pieszych pod nazwą „Szlakiem Puszczy Piskiej".

To nie „prima aprilis"

Żubry w Puszczy Piskiej

Miarodajne czynniki rozpatrują możliwość umieszczenia w lasach Warmii i Mazur rzadkich zwierząt— **żubrów.** Zwierzęta te miałyby być przeniesione do naszych lasów z południowej cześci kraju. Kilka sztuk żubrów miałaby dostarczyć Puszcza Białowieska.

W najbliższym czasie spodziewany jest przyjazd do Olsztyna specjalnej komisji, która zbada możliwości bytowania żubrów w naszych lasach. **Żubry umieszczone by zostały prawdopodobnie w Puszczy Piskiej wzgl. w Puszczy Boreckiej.** W lasach tych utworzone zostałyby rezerwaty, na których całość złożyłyby się duże kompleksy leśne. O ile decyzja komisji będzie pozytywna, wówczas Warmia i Mazury zyskają nową atrakcję.

Mamy bowiem na naszym terenie również rzadkie już dziś zwierzęta— **bobry.** Dzięki dogodnym warunkom terenowym i troskliwej opiece liczba bobrów stale wzrasta. **Według przypuszczalnych obliczeń w rzekach i jeziorach naszego województwa żyje obecnie ponad 120 bobrów.** Największe ich skupisko jest na rzece Pasłęce i jej dopływach. Ale nie tylko w ukrytych miejscach bobry zakładają swoje siedziby. Ostatnio zaobserwowano fakt pojawienia się bobrów na odsłoniętym torfowisku w pobliżu Olsztyna.

Bobrami troskliwie opiekują się pracownicy administracji lasów państwowych. **Zwierzęta te znajdują się pod ochroną.**

(p)

Olsztyn na ekranie

Przez kilka dni przebywała na terenie naszego województwa ekipa polskiej kroniki filmowej. Dokonała ona wielu zdjęć do PKF. M. in. sfilmowane zostało spotkanie literatów olsztyńskich z ludnością wsi Kaletka, przodujący hodowcy w Górowychach, baza sportów wodnych ZS Kolejarz nad jez. Krzywym oraz przebieg mistrzostw Polski w biegach na przełaj.

Filmowcy zapowiadają ponowny swój przyjazd do Olsztyna z chwilą kiedy zazielenieje „plener". Bez tego bowiem nasze piękne krajobrazy tracą wiele ze swego uroku. (B).

Choć Zalew był zamarznięty

rybacy z Fromborka nie zawiedli

Długa i ostra zima pokryła grubym lodem nie tylko jeziora Warmii i Mazur, ale również wody Zalewu Wiślanego. Nie przeszkodziło to jednak rybakom — spółdzielcom z Fromborka w ich pracy. Przeprowadzali oni połowy pod lodem, osiągając dobre, aczkolwiek mniejsze wyniki od rybaków jeziorowych. W ciągu zimy rybacy z Fromborka złowili ponad 100 ton ryb, wykonując swój plan z nadwyżką.

Okres zimowy wykorzystywali oni również do naprawy sprzętu i kutrów rybackich. Wszystkie łodzie zwane barkasami zostały wyremontowane i wyposażone w nowe motory produkcji krajowej.

Przygotowania do sezonu letniego rybacy już zakończyli. W najbliższych dniach wyruszą oni na pierwszy w tym roku letni połów. Obecnie przeprowadzają oni połowy węgorza. Dają one dobre wyniki. (p)

Dla każdego... coś ważnego!

BIAŁY „żagiel" bocianich skrzydeł rozpostarty na tle nieba, to niechybny symbol wiosny. Istnieje stary przesąd, że gdy się ujrzy pierwszy raz w danym roku bociana w locie, jest to zapowiedzią pomyślności na cały rok. Nie tyle dla bociana, ile dla bystrego obserwatora z ziemi. Zatem w czasie świątecznego spaceru bacznie obserwujmy niebo... A jeśli się ktoś zmęczy niech zapamięta sobie następujące dane, które przydadzą się każdemu. A więc...

GOSPODY i sklepy handlu uspołecznionego, które czynne są w dniu dzisiejszym normalnie, jutro 18 bm. będą zamknięte. Ale nie wszystkie. OZGastr. w pierwszym dniu świąt uruchamiają dyżurne lokale gastronomiczne. I tak restauracja „Warszawska" czynna będzie od g. 10—22, podobnie jak i bar „Zatorze", który również otwarty będzie jutro od g. 10 do 22. W poniedziałek 19 bm. gospody OZGastr. czynne będą normalnie.

Mając jednak na uwadze, że tegoroczne święta będą sute, nie wykluczamy, że możemy spotkać się z objawami rozchorowań z... przejedzenia. Oczywiście, że jesteśmy za tym, aby objawów takich było jak najmniej. Dlatego też w dobrze pojętym interesie i obowiązku należy zapamiętać, że...

APTEKI w okresie świątecznym dyżurować będą całą dobę. Dziś i jutro dyżuruje apteka Nr 3 przy ul. Kościuszki Nr 85. 19 bm. pełnić będzie dyżur apteka Nr 41 przy pl. Armii Czerwonej 5. W ostateczności, jeśli lekarstwa na znieczulenie bólów żołądkowych nie pomogą, możemy zawsze liczyć na POGOTOWIE RATUNKOWE. Adres pogotowia: ul. Partyzantów 82, numery telefonów: 09 i 22-22. Pogotowie również czynne całą dobę.

ODPOWIEDNIO do nastroju wiosenno-świątecznego dostroi się komunikacja miejska i samochodowa. Tramwaje, autobusy i trolleybusy funkcjonować będą normalnie, jak w każdą niedzielę, z tą tylko różnicą, że w pierwszym dniu świąt tramwaje i trolleybusy kursować będą w zmniejszonym składzie. Autobusy PKS również obsługiwać będą podczas świąt linie autobusowe w myśl rozkładu niedzielnego.

PODCZAS dwudniowego odpoczynku nie będziemy też narzekać na brak rozrywek. W kinach olsztyńskich będziemy mieli możność ujrzeć wiele ciekawych filmów. W „Odrodzeniu" od jutra wyświetlany będzie polski film fabularny pt. „Trudna miłość", w „Polonii" radziecki film pt. „Trzeci szturm", a w „Awangardzie" również radziecki film batalistyczny pt. „Kotowski". Na porankach w „Odrodzeniu" przez dwa dni świąt wyświetlany będzie radziecki film muzyczny „Pieśń Tajgi", w „Polonii" komedia francuska „My urwisy", a w „Awangardzie" radziecki film muzyczny „Podstęp swatki".

Natomiast WDK naszym milusińskim sprawi na święta wielką niespodziankę. Teatr kukieł przy WDK 18 i 19 bm. występuje na scenę z premierą nowego widowiska dla dzieci. Będzie nią baśń pt. „Zielony mosteczek". Początek obu przedstawień naznaczono na godz. 16.

Ale nie tylko o najmłodszych pomyślało WDK. Dla starszych (tych już powyżej 14 lat) w poniedziałek świąteczny w sali WDK o godz. 19, olsztyński „Artos" wystąpi ze swoim własnym programem wiejskim o tematyce regionalnej pt. „Rodzina".

Zwolennicy kultu Melpomeny na pewno odwiedzą teatr im. St. Jaracza. W dniach 17, 18 i 19 bm. o godz. 19 teatr wystawia komedię Jurandota pt. „Takie czasy".

Gdzie i jak spędzić resztę dnia, to już pozostawiamy naszym Czytelnikom. Pamiętajmy jednak przy tym, że we wtorek wszyscy wypoczęci spotykamy się punktualnie w miejscach pracy.

A zatem wesołej... zabawy! (z)

Ogłoszenia drobne

Zbiór znaczków pocztowych kupię. Oferty nadsyłać skrytka Nr 19 Warszawa 33. 746-1

CZYTELNIK

Redakcja i Administracja: Olsztyn, ul. Mazurska nr 1, tel. 35-48 i 25-23. Odpowiedzialny za pismo: Komitet Redakcyjny. Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik".

Prenumerata miesięczna zł 5,—. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Ogłoszenia drobne zł 1,50 za wyraz wymiarowe za tekstem zł 3,— za 1 mm, specjalne zł 18,— za wiersz. Konto PKO I-717/110

Druk. RSW „PRASA" Marszałkowska 3/5

5-B-14127

Podsłuchane rozmówki

ŚWIĄTECZNA ROBOTA!

— Widział pan, panie Mrozik, jakie to roboty ziemne miasto rozpoczęło na przeciwko kina „Odrodzenie"? Aż przyjemnie popatrzeć.

— Co też pan opowiada, panie Wisienka! Przecież to zwyczajnie buduje się ogródek Jordanowski. Taka podobno wyszła ustawa, że na każdym skrzyżowaniu ulic, gdzie są gruzy, ma powstać ogródek dla małych dzieci.

— Nie ogródek, panie Mrozik, tylko nowa jezdnia. Aby na rogu nie gniotły się z sobą trolleybusy z tramwajami, samochodami, traktorami i wozami chłopskimi. Przecież tu w południe ścisk się robi jak w halach targowych. Aż przykro patrzeć na to zbiegowisko trakcji kołowej.

— Nie wierzy pan? No to chodźmy — pokażę panu wszystko jak należy i uświadomię pod względem komunalnym.

Przez cały czas spaceru ze Starego Miasta do ulicy Pieniężnego trwała między starymi obywatelami miasta Olsztyna burzliwa sprzeczka. Z wymachiwaniem rąk i gwałtowną gestykulacją. Uspokoili się dopiero na widok zajętych pracami ziemnymi robotników.

— Otóż widzi pan. W tym miejscu gdzie kiedyś były sklepy inicjatywy prywatnej, robią wykop. Poleci tędy nowa jezdnia...

— Nie jezdnia tylko basen dla dzieci. Dla najmłodszych — upierał się Mrozik.

— Gdzie tu może zmieścić się nowa ulica? A te schodki to niby dokąd mają prowadzić? Na chodnik może, co?

— Nic pan się nie zna na tych sprawach — przerwał ob. Wisienka. — To nie basen kąpielowy tylko nowa ulica. Sam widziałem plany. Robiła je jedna inżynierowa od budownictwa miejskiego. Owszem, dobre. Nie można powiedzieć. Tylko, że za dużo w nich trzeba walić zamieszkałych domów. Ale to nieważne. Popatrz pan jednak. Tam gdzie te burtniki — poleci jezdnia, trochę krzywo, ale to dobrze, bo nasi szoferzy i tak stale wpadali na te żelazne rury. Teraz tych nieszczęść nie będzie. A i murka już niesposób będzie zburzyć. Zakręci sobie taki szofer z ulicy Pieniężnego i leciutko wjedzie w Aleję Zwycięstwa. Od tramwaju oddzieli go specjalnie pobudowana wysepka dla pieszych. W kształcie takiego szlabanu. To podobno dlatego, aby nie było zderzeń samochodów z tramwajami, które gonią już resztkami.

— Trochę mnie pan przekonał, ale co potem? Przecież tam dalej stoi dom. Więc co? Ulica skończy się na nim?

— Otóż to. Na tym domu kończy się na razie plan. Ale to tylko na razie. Bo potem chałupę się zburzy, a ulica poleci jak strzelił na plac przed pomnikiem.

— Ale po co te schodki? — drożył się jeszcze ob. Mrozik. — I kiedy oni to wszystko skończą, jak zaczęli przed świętami.

— Które? Te od ulicy Pieniężnego? Otóż widzi pan, na tym wzgórku pod ścianą szczytową dawnego „Ekspressu" będzie pobudowany taki egzotyczny ogródek. Bez palm i kaktusów, bo tam jest ciągle cień, ale z kioskiem MHD, w którym będą sprzedawane różne wody mineralne — z Cieplic, Szczawna Zdroju, Ciechocinka i Krynicy. Będzie nawet czysta woda z Wisły. Jak pan widzi, panie Mrozik, miasto dba nawet o żołądki swoich obywateli.

— A co do skończenia, to pan ma rację. W Olsztynie wszystko zaczyna się budować przed świętami. To już taka tradycja miejska. A potem robi się przerwę, która często trwa miesiącami. Ale tym razem będzie inaczej. Inżynierowie się zawzięli, a i robotnicy również. Tak, że do 1 Maja wszystko będzie gotowe.

Murowane!

(PODSŁUCHAŁ: IL)

To trzeba spróbować

Filet saute á la „Nowoczesna"

Szef kuchni OZG ob. Wł. Puchalski przygotował 8 nowych receptur na dania regionalne — firmowe, które po zatwierdzeniu przez MHW będą specjalnością zakładu „Nowoczesna".

A oto ich nazwy:

Szaszłyk z polędwicy, filet z patelni, zrazy firmowe, filet saute a la „Nowoczesna", befsztyk po tatarsku, kołduny litewskie i flaki z pulpetami.

Udało nam się podpatrzyć produkcję tych dań, więc recepturą podzielimy się z naszymi Czytelniczkami.

Aby zrobić porcję szaszłyku z polędwicy wystarczy wziąć 10 dkg polędwicy, skroić na plasterki i rozbić. Następnie kawałki lekko posypać pieprzem i solą, położyć polędwicę, plasterek cebuli, a na to kawałek słoniny (5 dkg zbitej podobnie jak polędwica). Po złożeniu całość należy nadziać na szpadkę, nadać formę, przyklepać i płasko położyć na gorącą patelnię z tłuszczem. Czynność ta wraz z usmażeniem trwa około 10 min. Jednocześnie przygotowujemy ryż z sosem pomidorowym (4 dkg ryżu gotujemy i po odlaniu wsypujemy do przygotowanego na patelni sosu z koncentratu pomidorowego i tłuszczu z dodatkiem soli i papryki).

Wystarczy położyć lekko przysmażony ryż na talerz, na to położyć szaszłyk — i mamy wyśmienitą porcję.

Specjalnością filetu saute jest, że w połączeniu z sosem ziemniaczanym będzie doprawiony pikantnymi przyprawami i podany na grzanej bułce. Flaki z pulpetami będą posiadały silniejszy zestaw przypraw.

Inicjatywa OZG jest bardzo słuszna i cenna. Trzeba tylko, aby te dania niedługo znalazły się w jadłospisie „Nowoczesnej" i aby były smacznie przyrządzane. Tym zdobędzie sobie zakład zaufanie konsumentów. (jot)

Wiosna na Warmii i Mazurach

WCZORAJ I DZIŚ

Wiosna, nie wnosząca w życie mieszkańców miast żadnych donioślejszych zmian, jest dla ludności wiejskiej okresem wzmożonej, gorączkowej pracy. Trzeba wykorzystać każdy dzień, każdą sposobną chwilę, by zdążyć na czas z robotami w polu, by obsiać, zasadzić...

Wiosna nie czeka. Kto się pośpieszy, zasieje na czas, ten może oczekiwać dobrych zbiorów.

Chłop na Warmii i Mazurach zawsze pamiętał o tej prawdzie twierdząc w swym ludowym przysłowiu, że:

„Pilny już w „Jerzego" sieje
Legat (w znaczeniu: leniuch) się przy ogniu grzeje".

choć inne z ludowych przysłów przestrzega rolnika, że już

„Na Marka sieje się ostatnia jarka".

Kwiecień i maj — to ważne dla wsi miesiące. Pogoda jaka wówczas panuje stanowi o dobrych zbiorach, lub o nieurodzaju. Chłopi warmińscy i mazurscy obserwując od pradziadów kwiecień i maj doszli do wniosku i głoszą w swych przysłowiach, że jeśli:

„W kwietniu posucha, niknie rolnikom otucha", albo
„Suchemu kwietniowi gbur się nie raduje
Bo kwiecień mokry dobry rok zwiastuje".

Wiosna w tym roku jakoś nie dopisuje, zsyłając zamiast ciepła częste śniegi. Nie dziwi się temu Mazur ni Warmiak, bo według ich przysłowia:

„Nie masz w biegu czasów kwietnia tak dobrego
by nie wsadził na słup kołpaka śnieżnego".

Do majowych deszczów lud Warmii i Mazur nie ma zaufania, bo

„Daszczyk majowy — jak łzy młodej wdowy".

Gospodyni na wsi warmińsko-mazurskiej ma w tym czasie pełne ręce roboty. W okresie zbliżających „wiosennych godów" zarzucony już dziś częściowo zwyczaj nakazywał zrobić zapas „palm", bo „jak się krowy cieliły, to dali po parę koćków psić", albo „jak było zboże wożone do sąsieków kładli po trose w rogi te palmy, coby grzmot jak przyńdzie — nie zniszczyło".

Około 100 lat temu, na wsi warmińsko-mazurskiej praktykowano jeszcze wiele różnych obrzędów związanych z okresem wiosennym. Jeszcze przed wschodem słońca młodzież śpieszyła do najbliższej rzeki, źródła lub strumienia, gdzie myła się w bieżącej wodzie. Całą drogę i podczas mycia się zachowywano ścisłe milczenie. Wierzono bowiem, że kto przed świętem Wielkiejnocy obmyje się w płynącej wodzie, do tego „choroba przez cały rok przystępu mieć nie będzie".

Starsi, którzy nie kwapili się biec do rzeki, czy strumienia, obmywali się w wodzie przyniesionej przez młodzież. Wodą tą skrapiały gospodynię podłogi izb i skrupulatnie je wymiatały, śmieci zaś wynosiły poza obręb domu, cichaczem niosąc je poza swą miedzę, a nawet — najchętniej — o ile się tylko udało — wrzucały je za próg do sąsiedniej chaty. W ten sposób „zabezpieczały" się przed najściem chorób. W tym czasie dzieci rozbiegały się po ogrodach i stodołach.

✻

Wiosna 1954 r., różni się od tamtych sprzed lat kilkunastu czy kilkudziesięciu nie tylko zarzuceniem opartych na przesądach zwyczajów, chociaż do dziś rozbrajają one swym pięknem, uroczą naiwnością, dokumentują łączność ludności tych ziem z ludnością centralnych obszarów naszego kraju. Wiosna 1954 r. na Warmii i Mazurach różni się od tych sprzed lat kilkunastu, łoskotem traktorów orzących chłopską rolę, brakiem junkrów i co większych „gburów", różni się 500 wspólnymi chłopskimi gospodarstwami.

I podczas świątecznych gawęd warto pod wiejskimi dachami zastanowić się nad tym, warto pogwarzyć, naradzić się w jaki sposób, jak najszybciej „na Jerzego" obsiać swe pole, jak doprowadzić do tego, by ziemia Warmii i Mazur przyniosła w tym roku jak najlepsze urodzaje. (r)

Plon „wilczych obław"

Zlikwidowano 64 drapieżniki

Polowania i obławy na wilki w lasach Warmii i Mazur dały poważne wyniki. W ciągu r. 1953-54 od kul myśliwych padło 64 wilki.

W czasie minionej zimy myśliwi prowadzili skuteczną walkę z tymi niezwykle ruchliwymi i czujnymi drapieżnikami. Najwięcej wilków padło w polowaniach organizowanych na terenie powiatów Giżycko i Mrągowo. W rejonie nadleśnictwa Strzałowo, stan liczbowy wilków został zmniejszony o połowę.

Swego rodzaju rekord łowiecki ustanowił w tym okresie pracownik dyrekcji rejonu Lasów Państwowych — Osiński. Zabił on 5 wilków.

Największe skupiska wilków znajdują się w puszczy piskiej oraz w lasach węgorzewskich. Pracownicy lasów państwowych poszukują obecnie gniazd wilczych w celu wyniszczenia potomstwa tych drapieżników. (p)

ŚWIAT się ZMIENIA

Dlaczego siew krzyżowy?

...Za króla Ćwieczka, a i dziś jeszcze w zacofanych gospodarstwach chłopskich zboża siane są rzutem. Dłoń czerpie nasiona z płachty, garść zamachem rzuca je w glebę. Nasiona padają na głębę nierównomiernie, to gęściej, to rzadziej, jedne płyciej, inne głębiej zapadają w rolę. Rezultat? Nierównomierne wschodzenie roślin i nierównomierne dojrzewanie, stąd — straty w plonie wskutek dużej ilości pośladu i wysypywania się ziarna z kłosów, które dojrzeją wcześniej, niż inne.

Udoskonalenie przyniósł siew rzędowy. Siewnik rozmieszcza nasiona równomiernie w rzędach, biegnących równolegle i zawsze w określonej od siebie odległości. Wszystkie nasiona wsiane w rzędy znajdą się na właściwej głębokości. Dlatego siew taki daje zaoszczędzenie ziarna siewnego i mimo to — zwyżkę plonów, która np. w doświadczeniach z żytem sięga 3,5 kwintala z hektara.

Dalszym udoskonaleniem jest siew krzyżowy. Techniczne jego wykonanie polega na siewie rzędowym w dwóch kierunkach — wpoprzek i wzdłuż pola. Rozstawienie rzędów jest wąskie, np. co 10 cm. Wyznaczona do siewu ilość nasion zostaje podzielona na dwie części, a siewnik nastawiony na wysiew o połowę mniejszy od wyznaczonej na hektar normy. Jedną część nasion „wsuwa" siewnik w rzędy biegnące wzdłuż pola, pozostałą — w poprzeczne.

Oczywiście, ten sposób siewu wymaga większego nakładu pracy: — ten sam kawałek pola siewnik przemierzyć musi dwukrotnie. Ale korzyści daje bardzo poważne: z naszych i zagranicznych doświadczeń wynika, że przy siewach krzyżowych zwyżki plonów dochodzą do kilku kwintali z hektara.

Czemu zawdzięczamy tę zwyżkę? — Oto, przy siewie krzyżowym wszystkie rośliny rozmieszczone są na polu równomiernie, dzięki temu każda z nich korzysta z jednakowej wielkości miejsca, jednakowej ilości pokarmów, słońca, wilgoci. Siew krzyżowy pozwala na maksymalne wykorzystanie miejsca, na optymalne „zagęszczenie" pola roślinami. W rezultacie wszystkie rośliny bez wyjątku uzyskują lepsze warunki rozwoju, równomiernie dzięki temu dojrzewają, lepiej też plonują.

Siew krzyżowy może być stosowany przy wszystkich rodzajach zbóż i roślin motylkowych, a także przy niektórych roślinach strączkowych (groch, wyka, peluszka) itd.) i niektórych oleistych.

J. G.

METODĘ PRODUKCJI LEKU KRWIOTWÓRCZEGO

opracował zespół naszych naukowców

W roku 1926 badania na psach wykazały, że złośliwa anemia daje się leczyć przez podawanie dużych ilości wątroby. Od tego czasu wątroba (przerabiająca chemicznie pokarmy dostarczane jej z jelit i będąca dużym magazynem witamin oraz czynników krwiotwórczych) — stała się przedmiotem intensywnych badań, zmierzających do wyodrębnienia z niej czynników przeciwanemicznych, krwiotwórczych, potrzebnych do leczenia chorych. Nie było bowiem do pomyślenia, by podawanie choremu dużych ilości wątroby nie spowodowało obrzydzenia i przerwania takiej kuracji przed wyleczeniem.

Ale wyodrębnienie takich czynników krwiotwórczych celem sporządzenia z nich zastrzyków — jako formy leczenia anemii — nie było rzeczą łatwą. Chemicy nie znali jeszcze wówczas budowy chemicznej tych czynników, a hematolodzy — dokładnego ich działania. Toteż w ciągu dwudziestoletnich poszukiwań badawczych niedokładne — z konieczności — analizy zabalastowanych i nie dość oczyszczonych preparatów wątroby prowadziły, jak się później okazało, do wielu błędnych wniosków co do chemicznego charakteru czynników przeciwanemicznych.

W rezultacie preparaty wątrobowe (wyciągi) o najbardziej fantazyjnych nazwach, produkowane w różny sposób przez różne fabryki w świecie, miały bardzo różne wartości lecznicze. A co najważniejsze, metody chemiczne, jakimi się w tym celu posługiwano, w większości wypadków **unieczynniały względnie gubiły podczas przerobu wątroby jej czynniki krwiotwórcze.** Niestety, stopnia ubytku owych czynników krwiotwórczych w toku produkcji niesposób było określić z braku po temu odpowiednich metod laboratoryjnych i testów kontroli.

W tych warunkach ocena leku ujawniała się dopiero na klinikach hematologicznych, gdzie obliczano (badając krew morfologicznie) wzrost liczby czerwonych ciałek krwi chorego, leczonego owymi preparatami wątrobowymi. Na tej więc drodze — doświadczalnej — biochemicy przy współpracy lekarzy klinicystów dokonywali coraz częstszych i mocniejszych koncentratów wątrobowych, ZBLIŻAJĄC SIĘ STOPNIOWO DO CELU, DO WYODRĘBNIENIA WŁAŚCIWYCH CIAŁ KRWIOTWÓRCZYCH.

W latach 1936 — 46 notujemy dalszy postęp: — uzyskano koncentraty, które już w minimalnych dawkach (1 mg) dawały kliniczne efekty. I wreszcie w 1946 r., po 20 latach badań, wyizolowano z wątroby **kwas foliowy**, a w dwa lata później z wątroby wołowej — sposobami raczej fizyko - chemicznymi — **czerwoną, krystaliczną substancję, którą nazwano witaminą B12.** Badania chemiczne ustaliły, że w skład jej wchodzą. węgiel, wodór, azot, fosfór i 4 proc. kobaltu.

Stwierdzono też wówczas, że owych czynników antyanemicznych o wielkiej aktywności znajduje się w wątrobie (świeżej) stosunkowo bardzo niewiele, zaledwie jedna milionowa część wagi wątroby. Ale okazało się zarazem, że mikroskopijna dawka B12, wynosząca **zaledwie 0,5 gamma (gamma = jedna tysięczna miligrama), podawana dziennie, już działa leczniczo** i zastępuje w wielu wypadkach ekstrakt wątroby. Ten wyodrębniony czynnik antyanemiczny **B12 okazał się silniejszy, niż wszystkie znane witaminy czy hormony, a także — niż kwas foliowy,** który dopiero w dawkach 10.000 razy większych dawał efekt hematologiczny w leczeniu anemii,

*

Oczywiście, literatura zagraniczna nie podała przemysłowej metody sporządzania leków krwiotwórczych z wątroby. Problem w Polsce był więc nadal otwarty, choć badania w tym kierunku prowadzono od kilkunastu lat. **Kontynuatorem tych prac stał się nowopowstały w 1952 r. Instytut Farmaceutyczny.** Zadanie było niełatwe; młodzi pracownicy naukowi nie mieli w tej specjalności dostatecznego doświadczenia, brak było odpowiednich warunków — urządzeń i aparatów, niezbędnych do prowadzenia badań i wykonywania pomiarów kontrolnych właśnie w etapach międzyoperacyjnych, kiedy to przeważnie gubiło się nieświadomie czynniki antyanemiczne.

Mimo to zespół pracowników naukowych Instytutu pod kierownictwem mgr Zdzisława Synowiedzkiego zadanie podjął.

Przystępując do prac badawczych, pracownicy naukowi oparli się na danych literatury naukowej, podającej, że: — czynne frakcje, wyodrębnione z wątroby, działają pobudzająco na wzrost pewnych bakterii, czyli — są dla nich czynnikami wzrostowymi.

Na tej podstawie ustawiono przy pomocy Instytutu Leku metodę oznaczania owych czynników wzrostowych. Używano SZCZEPÓW BAKTERII (Lactobacillus Dorner Leichmani lub Escherichia Celi), WRAŻLIWYCH NA OBECNOŚĆ WITAMINY B_{12} WE FRAKCJI WĄTROBOWEJ, wrażliwych w tym sensie, że owe frakcje wątroby „podane" bakteriom jako pożywka, powodowały ich wzrost i właśnie stopień wzrostu tych bakterii służył do pomiaru czynników krwiotwórczych w uzyskiwanym ekstrakcie.

Niezależnie od tej metody — mikrobiologicznej — posługiwano się także metodami kalorymetryczną i spektrofotometryczną, dały się one bowiem zastosować do wysokoczynnych koncentratów.

Ustaliwszy tymi sposobami metodę kontrolną, pozwalającą oceniać siłę działania leku w toku produkcji, przystąpiono do opracowania nowego sposobu jego wytwarzania.

Zespół w składzie: mgr Zdz. Synowiedzki, mgr R. Kojer, dr Krówczyński, mgr Wagner, mgr Gruber i technik K. Tyrało, przeprowadził kilkaset doświadczeń. W rezultacie **uzyskano czysty ekstrakt wątrobowy kilka tysięcy razy aktywniejszy, jeżeli chodzi o działanie na wzrost wymienionych bakterii, niż wyciągi wątrobowe uprzednio u nas produkowane i stosowane klinicznie.**

Siła działania tego leku, **jeśli chodzi o odnowę krwi,** była oceniana przez kilkanaście klinik akademii medycznych w kraju, gdzie stosowano go w wielu przypadkach chorobowych: w niedokrwistości złośliwej, w postaciach niedokrwistości nadbarwliwych i niedobarwliwych, a dalej — wtórnych pokrwotocznych i wtórnych przewlekłych. Ocena polegała na badaniach porównawczych, przeprowadzanych przed leczeniem, w toku stosowania leku i po leczeniu.

Wyniki badań wypadły nadspodziewanie pomyślnie: kliniki stwierdziły wyraźny wpływ pobudzający nowego leku na układ krwiotwórczy (hemopoezę), wyraźne jego działanie ogólnotonizujące np. w przypadkach wyniszczenia nowotworowego, u ozdrowieńców po zapaleniu płuc i innych chorobach gorączkowych, poprawę samopoczucia, przyrost wagi ciała itd.

Klinika chorób dzieci podjęła szerokie badania naszych skoncentrowanych wyciągów wątrobowych w 50 przypadkach niedokrwistości niedobarwliwej średniego i ciężkiego stopnia (różne postacie gruźlicy niemowlęcej, stany zatruć pokarmowych, wyniszczenie i niedożywienie), a także w zaburzeniach odżywiania tkanki lub narządów oraz ich zaniku. Leczone niemowlęta wykazały w 75 proc. — w porównaniu z nieleczonymi — poprawę kliniczną, wyrażającą się znacznym przybytkiem wagi (do 500 g po 2 tyg. leczeniu). Poprawiał się też obraz krwi obwodowej.

Tak więc ekstrakty wątrobowe stosowane w niedokrwistościach, będących przeważnie następstwem toksycznego uszkodzenia szpiku jadami bakteryjnymi, **dały efekty lecznicze.**

Uzyskane wyniki kliniczne **ośmieliły nas do przetransponowania naszych laboratoryjnych wyników badań biochemicznych i fizykochemicznych na procedurę technologiczną,** umożliwiającą otrzymywanie w skali fabrycznej koncentratu wątrobowego, mianowanego na zawartość witaminy B12 (20 gamma wit. B12 w 2 cm sześc.).

W trzecim roku naszych prac badawczych osiągnęliśmy postawiony sobie cel, przekazując Tarchomińskim Zakładom Farmaceutycznym technologiczną metodę produkcji pełnowartościowego leku krwiotwórczego, leczącego anemię.

MGR ZDZISŁAW SYNOWIEDZKI

Małżonkowie Joliot-Curie

odkryli 20 lat temu sztuczną promieniotwórczość

W dwudziestą rocznicę odkrycia zjawiska sztucznej promieniotwórczości przez małżonków Irenę i Fryderyka Joliot-Curie, moskiewski dziennik „Prawda" zamieścił okolicznościowy artykuł Prezesa Akademii Nauk ZSRR prof. dr A. Niesmiejanowa.

Artykuł ten podajemy w obszernym streszczeniu

Nowa epoka w atomistyce rozpoczęła się w roku 1896, gdy francuski uczony **Bequerel** odkrył zjawisko promieniotwórczości. W dwa lata później **Piotr i Maria Curie** dokonali odkrycia radu i zbadali jego właściwości radioaktywne.

Niebawem **Rutherford** wykrywa schemat budowy atomu (ciężkie jądro i ułożone wokół niego elektrony), a w 1919 r. **dokonuje pierwszej przemiany pierwiastków** przez sztuczne bombardowanie atomów cząstkami alfa.

W ciągu dalszych paru dziesięcioleci udało się opanować sposoby wydzielania olbrzymich ilości energii potencjalnej z jąder atomów, zarówno pierwiastków naturalnych (uran), jak i pierwiastków sztucznych (pluton). Okazało się, że jeszcze większe ilości energii można wydobywać z jąder pierwiastków lekkich, np. w drodze syntezy wodoru w hel.

Uczeni wielu krajów, a wśród nich i uczeni radzieccy, brali czynny udział w tych niezwykłych osiągnięciach nauki. Jednakże **kluczowych odkryć w tej dziedzinie dokonali małżonkowie Joliot-Curie.** Oto w roku 1932, bombardując metal beryl cząstkami alfa, wywołali oni zupełnie nieznane promieniowanie, jak się okazało — z neutronów. Łącznie ze znanymi już protonami, czyli jądrami atomów wodoru, neutrony stanowią elementarne składniki jąder każdego pierwiastka.

Uczeni stwierdzili w szczególności, że płytka aluminium, po bombardowaniu cząstkami alfa, pochodzącymi z radowego preparatu, **promieniowała dalej** i po ustaniu bombardowania. Okazało się, że w wyniku tego bombardowania **atomy glinu zamieniają się na promieniotwórczy fosfor,**

PROMIENIOTWÓRCZE IZOTOPY

Już poprzednio wiedziano o tym, że atomy różnych pierwiastków posiadają **odmiany, zwane izotopami.** Wspomniane wyżej przemiany prowadziły właśnie do wytwarzania **promieniotwórczych izotopów fosforu, azotu i krzemu, które w naturalnym stanie nie są promieniotwórcze.**

Małżonkowie Joliot-Curie odkryli dalej, że podczas promieniowania owych sztucznie wytworzonych izotopów powstają elektrony o ładunku dodatnim, czyli tzw. pozytony. Za swe odkrycia para uczonych została w roku 1935 odznaczona nagrodą Nobla.

Idąc w ślady Joliot-Curie, fizycy nauczyli się wytwarzać izotopy niemal wszystkich istniejących w przyrodzie pierwiastków. Dziś znamy już kilkaset sztucznych, promieniotwórczych izotopów. Co więcej fizycy, wytworzyli izotopy nawet takich pierwiastków, których w przyrodzie dotąd nie znaleziono, a dla których w tablicy Mendelejewa pozostawione zostały miejsca Nr 43, 61, 85 i 87.

W ostatnich latach fizycy otrzymali **szereg pierwiastków pozauranowych, najcięższych.** Z nich szczególnie pluton budzi ogromne zainteresowanie, jako źródło wyzwalania olbrzymich ilości energii.

Odkrycia Joliot-Curie odgrywają jednak doniosłą rolę nie tylko w energetyce obecnej i przyszłej. Wiele innych nauk, od chemii do archeologii, uzyskało nowe możliwości rozwojowe dzięki zastosowaniu do badań naukowych **tzw. „znaczonych" atomów.**

„ZNACZONE" ATOMY

Rzecz polega na tym, że jeśli do naturalnej mieszaniny izotopów danego pierwiastka domieszamy nieco jego izotopu promieniotwórczego, to oczywiście ten ostatni będzie brać udział we wszystkich przemianach chemicznych na równi z mieszaniną naturalną, a jego promieniowanie pozwoli z łatwością odkrywać obecność tych izotopów i śledzić ich ruchy. Gdy więc np. do pożywienia, podanego żywemu stworzeniu, dodamy trochę promieniotwórczego fosforu, wówczas — śledząc jego drogę w organizmie — można stwierdzić, że już po godzinie większość fosforu usadowi się w kościach.

W biochemii, fizjologii zwierząt i roślin, w mikrobiologii i medycynie metoda znaczonych atomów dała już wybitne i ciekawe rezultaty. **Oto kilka przykładów osiągnięć uczonych radzieckich.**

Jeśli chodzi o odżywianie się roślin, panowało do niedawna przekonanie, że korzenie dostarczają roślinie z gleby pożywienia mineralnego, podczas, gdy z powietrza, czyli z zawartego w nim kwasu węglowego, roślina w swych zielonych częściach przyswaja sobie pod działaniem światła słonecznego — węgiel, zamieniając go następnie w swym organizmie na węglowodany (zjawisko fotosyntezy).

Tymczasem, dodając do gleby nieco kwasu węglowego, zawierającego znaczone atomy węgla, okazało się, że także korzenie rośliny przyjmują z gleby węgiel i posyłają go w górę ku liściom. I na odwrót; okazało się, że liście mogą przyjmować i pożywienie mineralne. Tę ich właściwość wykorzystano w gospodarstwach rolnych w ZSRR, stosując SZTUCZNE DOŻYWIANIE BAWEŁNY. W rezultacie uzyskano urodzaj wyższy o 10—20 procent.

Odkryto dalej, że wbrew mniemaniu o powolności procesów, zachodzących w roślinach, woda rozchodzi się we włóknach drzewnych niektórych drzew z szybkością do 14 m na godzinę, podczas gdy substancje przenikające z liści do korzeni, wzgl. do owoców, poruszają się z szybkością od 0,7 do 1,5 m/godz., a szybkość wędrówki substancji z korzenia do liści wynosi 2 — 4 m/godz.

Przy pomocy znaczonych atomów zbadano dokładnie zjawisko fotosyntezy. M. in. wykazano, że z przyswajanego kwasu węglowego rośliny tworzą — w procesie fotosyntezy — nie tylko węglowodany, lecz także białka.

Badając biochemiczne procesy w mózgu, uczeni radzieccy stwierdzili, że podczas snu procesy syntezy mają przewagę nad procesami rozpadu, co ma wpływ na zdolność mózgu do pracy.

Także w technice metody badania znaczonymi atomami przyniosły korzystne wyniki, np. przy wyrobie specjalnych stopów.

W chemii analitycznej uzyskano 100 — 1000-krotne zwiększenie czułości chemicznych metod analizy.

Robiąc dziś przegląd osiągnięć nauki i techniki, uzyskanych w następstwie odkrycia małżonków Joliot-Curie sprzed 20 lat, żywimy dla tych uczonych głęboką wdzięczność, zwłaszcza, że **są oni nie tylko wielkimi uczonymi, lecz także wielkimi bojownikami o pokój, a w szczególności walczą o to, by energii atomowej używać tylko dla dobra ludzkości, a nie do celów masowego niszczenia.**

Streścił z rosyjskiego
E. BIAŁOBORSKI

Sztuczną kulturę grzybów

możemy zakładać w lasach

Liczne gatunki grzybów leśnych są cennym surowcem spożywczym, bogatym w witaminy, białko, węglowodany, tłuszcze i inne składniki. Pod względem wartości odżywczej zajmują one miejsce niejako pośrednie między mięsem i jarzynami, a wyróżniają się swym specjalnym smakiem, wysoko nieraz cenionym. Nic więc dziwnego, że wiele osób zastanawia się nad tym, czy nie dałoby się niektórych cenniejszych gatunków grzybów leśnych (borowik, smardz lub rydz) uprawiać sztucznie, na grządkach poza lasem, tak, jak uprawia się pieczarki w piwnicach na grządkach z nawozu końskiego.

W ten sposób można byłoby znacznie powiększyć zbiory oraz uniezależnić się od sezonowości i wahań urodzaju w lesie.

Wieloletnie badania wykazały, że ogromna większość naszych grzybów leśnych, takich jak: borowik, rydz, kurka, surojadka, piestrzenica, gąska, koźlarz, maślak itd. — żyje w symbiozie z drzewami leśnymi (stąd nazwa: grzyby — symbionty) i wytwarza na ich korzeniach mikoryzę. Współżycie to polega na tym, że grzybnia symbionta obrasta dookoła, a także i przenika do wnętrza najcieńszych korzonków drzew, które przyjmują wówczas bardzo charakterystyczny wygląd i na których zanikają włośniki. W wyniku tego rodzaju współżycia, noszącego nazwę mikoryzy (po grecku mikes — grzyb i rhiza — korzeń), oba osobniki czerpią różnego rodzaju korzyści. Bez korzeni tych drzew, czyli — mówiąc ogólnie — poza lasem grzyby te rozwijać się, a tym bardziej owocować nie mogą.

Na tym więc polega największa trudność sztucznej uprawy grzybów leśnych — symbiontów. Próchniczna gleba leśna, drewno lub nawóz nie są wystarczającym podłożem do ich uprawy, gdyż poza tym **konieczna jest obecność drugiego symbionta,** czyli korzeni żywego drzewa odpowiedniego gatunku. Tę właściwość niektórych grzybów leśnych od dawna już spostrzeżono, **dowodem są nazwy ludowe różnych grzybów, jak: podbrzeźniak, podosinnik, sośniak, brzeziak, olszówka, borowik itd.**

Istnieje i druga trudność. Polega ona na tym, że zarodniki grzybów — symbiontów bardzo jest trudno pobudzić do kiełkowania; tajemnica, której dotąd nie udało się dokładnie wyjaśnić.

Tak więc, w obecnym stanie naszej wiedzy o prawach, rządzących mikoryzą, **próby sztucznej uprawy powyższych grzybów poza lasem,** bez drugiego symbionta, **skazane są na niepowodzenie.** Można je uprawiać **tylko w warunkach ich naturalnego występowania,** a więc pod koroną takich drzew, które występują w charakterze drugiego symbionta (borowik pod sosną, dębem, grabem; kurka i piestrzenica pod sosną; rydz pod świerkiem lub sosną; koźlarz pod brzozą; podosinnik pod osiką itd.). W ten właśnie sposób **Francuzi uprawiają już od dawna w zagajnikach dębowych najcenniejszy gatunek grzybów, mianowicie trufle** tzw. perigordzką (inaczej zimową) i czerpią z tej uprawy ogromne korzyści.

Sztuczną kulturę grzybów w lesie można założyć albo przez wysiew zarodników, albo przez przesadzanie grzybni. W tym celu należy wybrać odpowiednie miejsce, a więc takie, w którym rosną drzewa wymagane do symbiozy i w którym dotąd nie ukazywały się jeszcze owocniki danego grzyba, np. borowika.

Przesadzanie grzybni polega na wykopaniu z lasu i przesadzeniu — wraz z jak największym kawałkiem ziemi — owocników danego gatunku na miejsce wybrane. Wysiewanie zaś zarodników polega na rozrzucaniu w wybranym miejscu (na lekko wzruszonej ziemi) starych owocników danego grzyba, ściśle mówiąc — ich kapeluszy, które układa się rurkami lub blaszkami do ziemi. Można również te kapelusze wypłukać w ciepłej wodzie i wodą tą polać wybrane miejsca, powtarzając ten zabieg parokrotnie w ciągu następnych lat.

Teraz pozostaje już tylko czekać, musi bowiem minąć kilka lat, zanim grzybnia — dostatecznie rozrósłszy się i wzmocniwszy — w nowym miejscu zaowocuje,

Mgr inż. H. ORŁOŚ

Od H. K. Stelle do Zaleszczyk

NAKŁADEM „Czytelnika" ukazały się w postaci książkowej *„Pamiętniki generała Rybaka"*, drukowane już poprzednio na łamach tygodnika „Świat". Najbardziej sensacyjna część tego interesującego dokumentu dotyczy lat poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej. Józef Rybak, późniejszy generał wojska polskiego, był wówczas kapitanem armii austriackiej. W 1909 r. zostaje kierownikiem głównego ośrodka wywiadowczego (Haupt Kundschaft Stelle, w skrócie H. K. Stelle) w Krakowie. Zadaniem jego jest wywiad dla Austrii na terenie Kongresówki.

Przełożeni Rybaka polecają mu nawiązanie kontaktu z Polską Partią Socjalistyczną, której kierownicy zobowiązali się do służby w austriackim wywiadzie. Kontakt z PPS nosi nazwę „konfident S". Wnet do Rybaka zgłaszają się pierwsi konfidenci z PPS, a wśród nich — Józef Piłsudski.

Rybak szczegółowo i bezpretensjonalnie opisuje swe kontakty wywiadowcze z Piłsudskim oraz rolę wywiadu austriackiego przy tworzeniu „legionów". Przed oczyma zdumionego czytelnika przewija się galeria „legionistów", sprowadzonych do właściwych wymiarów — agentów wywiadu austriackiego.

Te znane już rewelacje gen. Rybaka zostały w wydaniu książkowym podbudowane obszernym, może nawet zbyt obszernym, „Posłowiem" historyka Jana Kancewicza. Autor „Posłowia" posługuje się przede wszystkim własnymi wypowiedziami Piłsudskiego i ludzi z jego otoczenia, co stanowi dodatkowe potwierdzenie prawdziwości pamiętnika Rybaka.

Dopiero w świetle tego pamiętnika rozumiemy słowa Piłsudskiego: *„Polacy, którzy wyobrażali sobie, że będą mieli jakąś drogę, wpływ i znaczenie na wypadki, poszli na drogę szpiegostwa, gdzie wrota były otwarte na oścież. Szpiegostwo to natychmiast przez zaborców skierowane zostało przeciwko Polakom..."*. Przecież to „komendant" mówi o sobie, dodając kiedy indziej z rozgoryczeniem: *„Traktowali nas jako hołotę, szmaty ludzkie..."* A cóż znaczą słowa Piłsudskiego z 1927 r.: *„Wydawało mi się niekiedy, że służba obcemu jest najbardziej honorowana, jest najbardziej zaszczytna, jest najbardziej narodowa"*? Ta „służba obcemu" — to przecież wysługiwanie się austriackiej H. K. Stelle!

Kancewicz przypomina również przejście Piłsudskiego w czasie pierwszej wojny światowej na służbę wywiadu niemieckiego oraz późniejsze nawiązanie przezeń kontaktów z wywiadem francuskim, co prawdopodobnie stało się powodem osadzenia „komendanta" w Magdeburgu. Dlaczegoż jednak w 1918 r. Niemcy wypuścili Piłsudskiego? Odpowiada na to hr. von Kessler, któremu władze niemieckie zleciły zwolnienie Piłsudskiego i przerzucenie go do Polski:

„W Polsce zbliża się rewolucja, jak w Niemczech, wszędzie komunizm głowę podnosi... Jeśli Polacy zechcą skorzystać z „okazji", może być gorąco. Jeden Piłsudski jest w stanie ująć rozszalałe fluktа (żywioły) w swoje ręce..."

„Komendant" nie zawiódł zaufania hrabiego von Kesslera i innych hrabiów, obszarników, fabrykantów i bankierów — polskich i niemieckich, francuskich i amerykańskich.

*

TAKIE były początki sanacyjnej Polski, której rodzicami chrzestnymi były austriacka H. K. Stelle, wywiad niemiecki, kapitały francuskie i amerykańskie. W ciągu dwudziestolecia międzywojennego władcy Polski burżuazyjnej pozostali wierni swym zagranicznym opiekunom — i swym interesom klasowym. Wiele interesujących szczegółów na ten temat znaleźć można w wydanym również w postaci książkowej *„Dzienniku" Szembeka*, sanacyjnego wiceministra spraw zagranicznych w latach 1932—39 (nakładem „Książki i Wiedzy").

Lektura tego dziennika nasuwa — obok innych — przede wszystkim dwa wnioski: 1) władcy Polski sanacyjnej byli wierni swej „starej miłości" — Niemcom imperialistycznym, również Niemcom hitlerowskim; 2) władcy Polski sanacyjnej byli głupi, beznadziejnie, bezgranicznie głupi.

Oto kilka cytat na poparcie tych wniosków. W kwietniu 1934 r. Szembek notuje rozmowę Piłsudskiego z francuskim ministrem spraw zagranicznych Barthou. *„Marszałek podkreśla, że (w Niemczech) zaszła wielka i korzystna zmiana"* (mowa jest o dojściu Hitlera do władzy). *Zdaniem pana marszałka w Niemczech toczy się teraz zawzięta walka z tym, co nazywamy duchem pruskim..."* W rok później sam Szembek tłumaczy angielskiemu ministrowi spraw zagranicznych Edenowi: *„Ze wszystkich reżimów możliwych w Niemczech — reżim hitlerowski jest dla nas najlepszy.."*.

Drukowaliśmy niedawno na łamach „Życia" fragmenty pamiętników Becka, współautora haniebnego układu burżuazji polskiej z hitlerowską Rzeszą z 1934 r. Beck jako sanacyjny minister spraw zagranicznych konsekwentnie realizował tę politykę zdrady narodowej, którą Piłsudski zapoczątkował podczas współpracy z H. K. Stelle, i która zdaniem sanacyjnego premiera Kozłowskiego była (jak notuje Szembek) *„najbardziej olśniewającym sektorem działalności naszego rządu..."*.

Ten „olśniewający sektor" prowadził wprost do katastrofy wrześniowej. Lecz nawet w przededniu klęski „uczniowie" Piłsudskiego nie zdawali sobie sprawy z ogromu katastrofy. Pułkownik Koc w rozmowie z Szembekiem zapewnia go, że polska armia lądowa *„stanowić będzie kolosalną pomoc dla Imperium Brytyjskiego"*, a Beck na trzy dni przed wybuchem wojny twierdzi, że *„nasza sytuacja wojskowa, na ogół biorąc, jest niezła"*...

Rzecz ciekawa, że na karty pamiętnika Szembeka od czasu do czasu przedostają się oddźwięki rzeczywistych nastrojów polskich mas ludowych. Dnia 1 maja 1936 r. Szembek wraz z Beckiem obserwują przez okno manifestację 1-Majową. Beck, pełen obaw stwierdza, że *„nastrój jest znacznie bardziej rewolucyjny i bojowy niż w latach poprzednich"*. W marcu 1939 r. Szembek notuje: *„Słyszy się bardzo surową ocenę naszej polityki zagranicznej"*... W lipcu tegoż roku dyplomaci sanacyjni mają wiele kłopotów z kukłami i karykaturami Hitlera, zjawiającymi się w różnych częściach kraju i wywołującymi protesty ambasady hitlerowskiej.

Latem 1939 r. Beck i inni spadkobiercy Piłsudskiego rezygnują z ostatniej i jedynej szansy uratowania Polski — z pomocy Związku Radzieckiego przeciw agresji hitlerowskiej (bardzo ciekawe materiały z tego okresu zawiera wydana ostatnio we Francji książka Bouviera i Gacona „La vérité sur 1939" — „Prawda o roku 1939"; warto ją przetłumaczyć na polski). Hitler wydaje dyrektywę: „Data ataku — 1 września 1939 r. Czas ataku — godzina 04.45 rano".

Wbrew przewidywaniom „teoretycznego" organu piłsudczyków „Bellona", okazuje się, że czołgi hitlerowskie są silniejsze od polskiej kawalerii. Dnia 9 września ministrowie sanacyjni decydują się skierować swe limuzyny na Zaleszczyki...

*

„Przeklęte lata" — tak zatytułował drugie wydanie swej pracy o źródłach katastrofy wrześniowej *Stefan Arski*, który jest jednocześnie autorem interesującego wstępu do „Dziennika" Szembeka oraz przedmowy do książkowego wydania pamiętników Becka. „Przeklęta lata"... To rzeczywiście właściwa nazwa dla okresu historycznego, w którym pałka policyjna była symbolem polityki wewnętrznej warstw rządzących, a zdrada i głupota — wyrazem ich polityki zagranicznej.

Arski poświęca w swym szkicu sporo miejsca przedstawieniu tła międzynarodowego, na którym działali Beck i inni politycy sanacyjni. Chodzi o Monachium i całokształt spraw związanych z tą kapitulacją przed Hitlerem. Chodzi o pchanie Hitlera „na Wschód" — przeciw Związkowi Radzieckiemu. Chodzi o popieranie Trzeciej Rzeszy przez inne mocarstwa imperialistyczne i o ich próby dogadania się z Hitlerem kosztem Polski.

Napisana z temperamentem broszura Arskiego zawiera wiele materiałów stosunkowo mało znanych i daje plastyczny obraz tych wydarzeń, które poprzedziły klęskę wrześniową. Lektura broszury Arskiego w zestawieniu z takimi dokumentami, jak pamiętniki Becka, Szembeka czy Rybaka, nasuwa wniosek: czy nie czas już zastanowić się nad marksistowskim naukowym opracowaniem źródłowej, szeroko ujętej historii polityki rządów międzywojennego dwudziestolecia, a w szczególności dziejów polityki zagranicznej Polski przedwrześniowej.

GRZEGORZ JASZUŃSKI

Świąteczny konkurs „Życia"

Kto tak widzi wiosnę?

Zamieszczamy sześć rysunków przedstawiających jak pewni ludzie — niestety ciągle jeszcze — wyobrażają sobie wiosnę. Należy odgadnąć, kogo przedstawia każdy rysunek.

A oto przykład, którego nie ma na rysunku. Gdybyście na rysunku widzieli świeżo otynkowane bloki nowego osiedla, przed nimi bawiące się w wiosennym słońcu grupki dzieci oraz zajeżdżające spóźnione wozy wyładowane koksem do centralnego ogrzewania odgadlibyście bez trudu, że „TAK WIDZI WIOSNĘ — ADMINISTRACJA".

Odpowiedzi prosimy wpisać na załączonym kuponie i przesłać pod adresem redakcji „Życia Warszawy" Marszałkowska 3/5, Warszawa. Na kopercie prosimy zaznaczyć „Świąteczny konkurs".

Dla zwycięzców konkursu przeznaczone są liczne nagrody. Termin nadsyłania odpowiedzi upływa dnia 15 maja 1954 roku.

Rys. Szymon Kobyliński

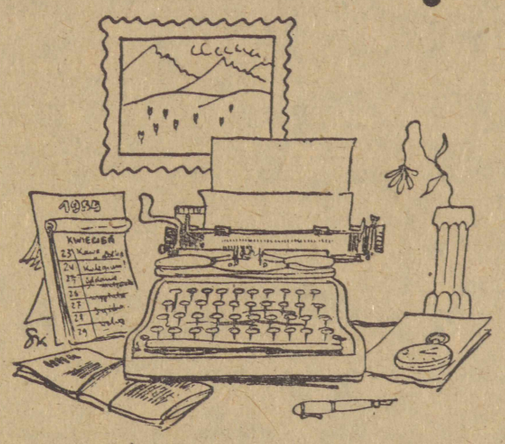

...Na odcinku bitwy o nowe osiągnięcia, wiosna w kraju, naszym pięknym, odbudowującym się kraju, gdzie Jutro zdaje się nam być już Pojutrzem, a Wczoraj — Przedwczoraj, otóż ta nowa wiosna roku bieżącego, bieżącego ku jeszcze wspanialszym osiągnięciom, niż dotychczas, jednym słowem Nowa Wiosna, zdobywająca traktory, wchodzi triumfalnie na nasze pola. Czytelnicy przypominają sobie zapewne omawiane w poprzednim numerze...

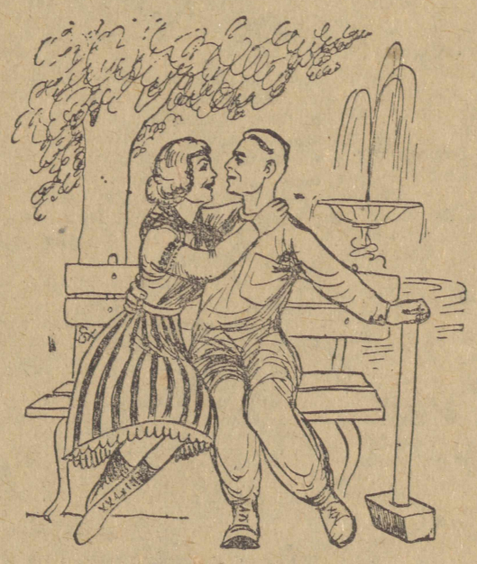

— Więc jak będzie, najdroższy?
— Obiecałem, dotrzymam słowa!
— Jesteś pewien?...
— Absolutnie!
— Więc kiedy ostatecznie?
— Najpóźniej za tydzień! Za trzy dni!
— Ty i ja?
— Tak! Razem!! Razem będziemy obsługiwać nowouruchamianą maszynę HD-48!

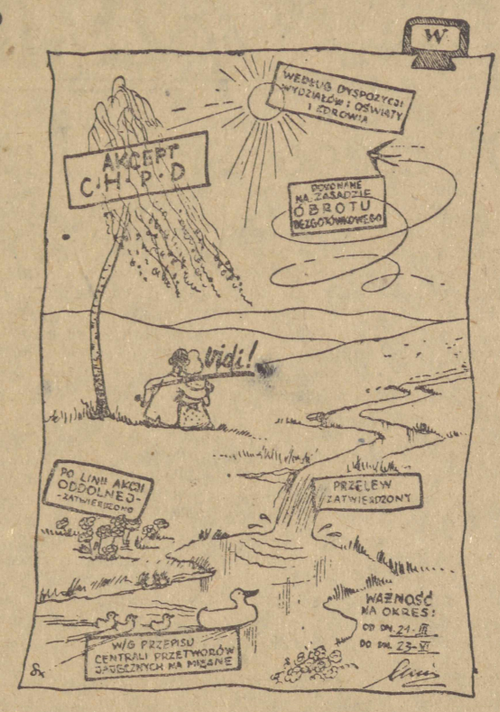

Wymaga się nast. załączników: 1) świadectwo Szkoły Śpiewaczej ob. Słowika, 2) zezwolenie na wykorzystywanie terenów zielonych (na nazwisko ob. Bociana), 3) prolongata dla ob. Dnia.

— W związku z pismem detalistów z dn. 15 listopada ub. r., przesyłamy dziś partię wymienionej masy towarowej. Warszawa — kwiecień 1954.
podpis nieczytelny.

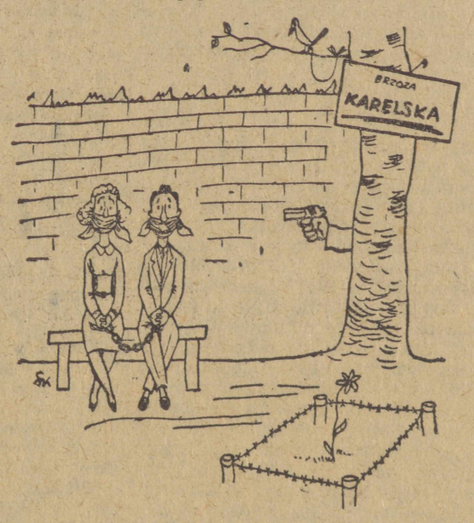

„...jak się dowiedzieliśmy ostatnio zza żelaznej kurtyny, a obecnie przekazujemy naszym radiosłuchaczom, wiosna w Polsce jest również całkowicie opanowana przez reżim"...

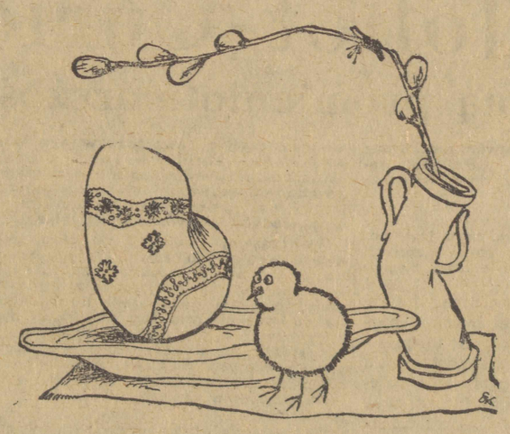

KAT. II

Kupon konkursowy

rys. 1. . . . . .
rys. 2. . . . . .
rys. 3. . . . . .
rys. 4. . . . . .
rys. 5. . . . . .
rys. 6. . . . . .
Nazwisko . . . . . .
Adres . . . . . .

PRASA O PRASIE

Ostatni numer miesięcznika Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich „Prasa Polska" zamieszcza parodie, ukazujące w satyrycznym zwierciadle nasze popularne dzienniki i czasopisma.
Przedrukowujemy kilka tych parodii.

Jak rysować i zdobyć sławę?

Myślenie jest rzeczą trudną i nieraz wymagającą wysiłku. Poza tym po co wymyślać rzeczy, które już zostały wymyślone. Wobec tego przeglądamy komplety pism satyrycznych krajowych i zagranicznych. Przeglądamy tak długo, dopóki nie natrafimy na taki pomysł, jaki nam jest potrzebny. Aktualizujemy tylko postacie.

Postacie są następujące: Podżegacze wojenni, wrogowie wewnętrzni i postacie pozytywne.

Na rysowanie podżegaczy wojennych istnieją określone przepisy i zwyczaje.

Przede wszystkim twarz podżegacza musi być ohydna, czyli obrzydliwa. Uzyskujemy w ten sposób podwójny efekt. Wstręt do podżegacza i do rysunku. Jeśli podżegacz ma jamę ustną otwartą, to należy umieścić w niej znikomą ilość uzębienia, przy czym pożądane jest, żeby poszczególne zęby były ostro zakończone, jak kły. Dobrze robi dodana w rogu ust wyciekająca strużka śliny. W rysunek koniecznie należy wkomponować znak dolara. Może być na krawacie, na brzuchu lub na cieniu. W wypadkach poważniejszych dodaje się zręcznie wykonaną trupią główkę, co znakomicie podnosi atmosferę grozy. Wyżej wymieniona trupia główka może być sama, może być ze skrzyżowanymi piszczelami. W pewnych sytuacjach należy dorysować swastykę.

Jeśli to jest Franco, to swastyki należy umieścić, jako zakończenie ostróg, natomiast bat musi układać się w kształcie dolara. Poza tym, przy Franco, dobrze robi umieszczona większa lub mniejsza szubienica, albo nawet cały szereg szubienic.

Tito natomiast lubi być rysowany z lekko wyszczerbionym toporem, na którym muszą być umieszczone plamy krwi. Bez plam krwi Tito nieważny. Znaki dolara trupia główka i strużka śliny są niezbędne, bez nich to żaden Tito.

Przy Adenauerze trzeba w tle umieścić portret Hitlera, a na stoliku Mein Kampf. W ten subtelny sposób zręcznie dajemy do zrozumienia widzowi, że my wiemy, że on, panie tego, to jak Hitler.

Na rysunku z generałami hitlerowskimi, pożądany jest cień szubienicy ze sznurkiem. Ilość swastyk można znacznie zwiększyć.

Natomiast przy generałach amerykańskich, np przy Ridgway'u, należy umieścić szereg pasożytów. Ładnie wygląda duża wesz na czapce. Pluskwy najlepiej umieścić na lewej piersi. Rękawy są zarezerwowane na trupie główki. Na rękach niezbędne bujne owłosienie. Plamy krwi pożądane wszędzie.

Churchilla należy rysować, jako akcesorii używając wyrobów przemysłu tytoniowego w postaci cygara, poza tym szary, wysoki melonik i muszka w groszki. W czasie zaostrzonej sytuacji politycznej dym z cygara może układać się w odpowiednie symbole. Insektów przy Churchillu nie używa się.

Najwięcej używać można przy Czang Kai-szeku. Przepisowo to Czang Kai-szek powinien mieć prawą nogę obwiązaną grubo bandażem. Pod pachami ma mieć kule. Mundur bardzo podarty. Dobrze też wygląda jako pies imperializmu. Poza tym nie ma ograniczeń. Dolary, swastyki, trupie główki, ślina, plastry na twarzy, pożądane.

W satyrze wewnętrznej miejsce czołowe zajmuje kułak, czyli bogacz wiejski. Tutaj kanony są bardzo surowe. Po pierwsze musi być gruby. Na głowie maciejówka lub kapelusz. Wąsy à la Sobieski. Buty z cholewami. Na kamizelce z siedmioma guzikami gruby łańcuch od zegarka. W tle koniecznie musi stać szereg pełnych worków. Bez worków kułak nieważny.

Drugi bohater wewnętrzny, to biurokrata. Tutaj jest już lekki luz, ale jako zasada musi być tak narysowany, jak dzisiaj nikt nie wygląda. Głowa biurokraty powinna być łysa. Na nosie okulary, choć lepiej wygląda ćwikier. Wąsiki krótko przystrzyżone. Na rękach czarne rękawiczki. Jako rekwizyty: herbata, początki stosy papierów na biurku. Ubranie według mody z 1880 roku. Poza tym biurokrata musi wyglądać co najmniej na 57 lat.

Brakorób, to jest bardzo łatwy do narysowania, młody człowiek w marynarce, której jeden rękaw jest do łokcia, drugi do ziemi. Nogawki za to odwrotnie. Jedna wlecze się po ziemi, druga do kolana. Guziki przyszyte kośławo. Głowa rozczochrana.

Bikiniarz jeszcze łatwiejszy. Kapelusz typu naleśnik. Włosy bardzo długie. Krawat w palmy i gole kobiety. Marynarka długa i luźna, ale za to w duże kraty. Spodeń wąski i krótki. Skarpetki w paski, buty na grubej zelówce. Jako akcesoria butelka wódki, papierosy Camele. Zwiększoną nienawiść do bikiniarza wywołujemy przez umieszczenie na rysunku napisu: Hej! baba riba!

Typy satyry pozytywnej to przodownik pracy, żołnierz na warcie, traktorzysta, murarz itp. Tutaj komplety starych pism zawodzą, ale na pomoc mogą przyjść np. reklamy pasty do zębów. Jaka pozytywna postać musi patrzeć na wprost lub wytężać wzrok ku. Usta rozchylone w pozycji uśmiechniętej. Zęby dokładnie zaplombowane. Włosy z lekka zwichrzone, pożądane blond. Pierś dumnie wypięta. Kostium i akcesoria w ręku zależnie od potrzeby. Fuzja, kielnia lub inny przedmiot. Jeśli w grę wchodzi osoba płci najbardziej odmiennej, obowiązuje to samo z wyjątkiem piersi, która nie musi być wypięta dumnie.

Teraz pozostaje najtrudniejsza sprawa, mianowicie: nabycie papieru, tuszu i piórka. Gdy i tę trudność pokonamy, to już nic nam nie stoi na przeszkodzie do zdobycia sławy.

Przełom w Bulwie

(reportaż psychologiczny z cyklu: książka pomaga)

Polną miedzą, wiodącą obok zabudowań Antoniego Bulwy w Kozichgrudkach, szła Natalia Wałek, nauczycielka wiejska, lat dwadzieścia jeden, córka biedniaka, członek Ligi Kobiet, bezdzietna.

Bulwa akurat szkapinę wyprzągł od sochy, którą orał swoje poletko, zacofaniec. Usiadł na przyzbie i wbił wzrok w chudę, nieurodzajne skiby. Ziemia aż wzdychała do superfosfatów, ale Bulwa, zaskorupiały, wciąż tkwił w przestarzałych nawozach.

— Hej Bulwa — zawołała Natalia — książkę wam przyniosłam! Przeczytajcie i rozważcie...

Mówiąc to, położyła na przyzbie obok Bulwy książkę A. Kulfona pt. „Zżęte rżysko". Była to powieść o spółdzielczości produkcyjnej.

— Przeprze czy nie przeprze—walczyła z myślami dziewczyna odchodząc. Bo też zacofanie, które się w Bulwie nawarstwiło, zdawało się nie do przeparcia.

Siedzi Bulwa przed chatą, siedzi, a na książkę ani nie spojrzy. Tylko czasami łypnie w jej stronę okiem i fuknie:

— Pewnikiem łajdactwo jakieś, wciurności...

Z początku wzdrygał się cały, czytając. Ale potem pomiarkował, że książka, owszem, nawet ciekawa. Co drugie słowo „spółdzielczość produkcyjna" i „wysoka wydajność z hektara".

— Niech go skręci — zadumał się Bulwa.

W tamtych chłopach z książki z początku wsteczne niedowiarstwo siedziało. Ale je w sobie przemogli. Nie minęło kilka pacierzy, a tu traktory po spółdzielni jeżdżą, tam i z powrotem. Skiby ziemi tłuste, jak masło i wydajność z hektara rośnie.

Skończył czytać Bulwa i za głowę się złapał.

— O mój Jezusiku — wołał — że też przedtem nie przejrzałem na oczy z tą spółdzielnią...

Ruszył Bulwa przez wieś. Idzie i biadoli, aż szyby w chałupach dzwonią:

— O ja nieszczęśliwy! Chyba mi złe rozum odebrało, że się tak na indywidualnej gospodarce męczę, zamiast do kolektywu wstąpić. Oj głupi ja, głupi byłem...

Krzyczy tak Bulwa, w którym przełom nastąpił, a za nim dzieciaków biegnie cała zgraja. Rwetes się zrobił na całą wieś. Ludzie z izb wyszli i dziwią się, że z tego Bulwy taki agitator.

Trzeba urządzić chłopów do chaty sołtysa. Kobiety szły w kolorowych spódnicach, sarkając. Zaczęli słuchać chłopi powieści. A Kulfona. Nawet baby się zasłuchały. Tylko jeszcze tu i ówdzie która sarknie, ale rzadko. Kiedy skończyli czytanie, lament wybuchł w izbie.

— Chyba nam rozum zaćmiło, żeśmy do tej pory się nie zrzeszyli — wołali chłopi. — Czy zdążymy odrobić nasze zacofanie?

— A juści, zdążymy, nie bójta się nic— powiedział Bulwa. Wyszedł za chałupę, poszperał w starym żelastwie, drutem części związał i traktor stanął jak się patrzy. Jeden, drugi, trzeci...

A dyć traktory nasze spółdzielcze — krzyknęli chłopi.

A przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Kozichgrudkach—Bulwa, dniówki obrachunkowe wyjął i między chłopami rozdziela.

— Naści, naści — mówi.

Kułacy pienią się ze złości, zielenieją na twarzach i ropa im z oczu kapie.

— Przeparło — westchnęła radośnie Natalia Wałek.

PRZEKRÓJ

Wielki konkurs »Przekroju«

Tym razem zamieszczamy konkurs, który wymaga wysokiej świadomości politycznej (prosimy czytelników posługiwać się encyklopedią). W losowaniu nagród weźmie udział każdy czytelnik (czka), który (a) nadeśle rozwiązanie (słuszne lub niesłuszne).

1) **Kto jest prezydentem Francji?**
   a) Dymsza
   b) Coty
   c) Wiech
2) **Kto wygrał ostatni bieg Praga — Warszawa?**
   a) Królak
   b) Solski
   c) Dunikowski
3) **Jaki ustrój panuje w Chinach Ludowych?**
   a) imperialistyczny
   b) feudalno-monarchistyczny
   c) ludowy
4) **Kto odkrył Amerykę?**
   a) Kolumb
   b) Kemal Pasza
   c) Li-Syn Man
5) **Kto napisał „Pana Tadeusza"**
   a) Mickiewicz
   b) Wanda Grodzieńska
   c) Zbigniew Mitzner
6) **Kto jest redaktorem „Przekroju"?**
   a) Eile
   b) Evie
   c) Ejie

Najtrafniejsze odpowiedzi na te pytania będą wynagrodzone specjalną nagrodą z funduszu reprezentacyjnego Redaktora Naczelnego „Przekroju" ob. Mariana Eilego.

PRZEGLĄD SPORTOWY

Zagrożona pozycja Węgrów w piłce nożnej

Bogate doświadczenia z wyprawy do Albanii, skąd nasi zawodnicy wrócili nielicho zaprawieni po tak uciążliwej wycieczce, natchnęły jednego z naszych trenerów piłkarskich do opracowania małego dzieła poświęconego piłce nożnej pt. „Mój system".

Rozmawiamy z wybitnym fachowcem na temat jego piłkarskich myśli, szczodrze rozsypanych we wspomnianej książce.

— Jeśliby tylko wszyscy piłkarze, a zwłaszcza nasi przeciwnicy, grali według moich zaleceń — możemy być spokojni o najbliższy sezon rozgrywek międzynarodowych. I wtedy nawet pozycja Węgrów może być poważnie zagrożona — powiedział nasz rozmówca.

Podobno oświadczenie naszego działacza wywołało na Węgrzech wstrząsające wrażenie.

Sukces szachistów w Budapeszcie

Podczas trójmeczu szachowego w Budapeszcie udało się naszej ekipie zająć miejsce tuż za drużynami Węgier i Czechosłowacji.

— Gdybyśmy pojechali z własnym sprzętem — powiedział nam kierownik naszej drużyny — wynik byłby z pewnością jeszcze lepszy. Niestety nasi zawodnicy nie mogli się przyzwyczaić do węgierskich koni szachowych. Trenowaliśmy w innych warunkach i utrzymanie przy sobie koni węgierskich nie było dla nas łatwe. Poza tym w ostatniej chwili zabrakło nam etatu dla jednego gońca, przez co zmniejszyły się operatywnie szanse hetmana w polu, gdyż nie miał zapewnionej stałej łączności z królem. A jak wiadomo, samymi pionkami grać jest bardzo trudno.

Uwagi powyższe wydają nam się całkowicie słuszne. Braki w zaopatrzeniu sprzętowym szachistów stanowią poważną przeszkodę na drodze rozwoju naszego wychowania fizycznego.

POROZMAWIAJMY

Czy mąż jest winien czy żona?

Znali się od lat, aż wreszcie się pobrali. 8 lat temu był ich ślub. Wiecie sami jak bywa w małżeństwie. Czasem są dzieci — czasem ich nie ma U nich najpierw nie było — potem były. On miał ich troje z drugiego małżeństwa swojej pierwszej żony — ona czworo z pierwszego małżeństwa drugiej żony swego trzeciego męża.

Przyznajcie, że znacie takie wypadki. Byli więc małżeństwem takim, jak tysiące innych. Wreszcie sielanka się skończyła. On przyjął dwoje dzieci trzeciego męża swojej drugiej żony — ona przygarnęła czworo dzieci pierwszej żony swego drugiego męża.

Potem zaczęła się wódka. Póki pili razem, jakoś się ciągnęło to ich wspólne życie, przyprawiane co drugi dzień smaczną trucizną niesnasek. Potem Stanisław pijał sam — ona nie dawała się wyprzedzić. On mylił imiona jej dzieci, ona jego. Gdy wracał pijany, ciągnął do domu gromadę dzieciaków z sąsiedztwa, myśląc, że to jej dzieci — ona robiła to samo przez pamięć — przyznacie, że to się zdarza — swego drugiego męża.

Byli już w stanie nerwowej choroby. Fruwały grube słowa i sprzęt. Ona tłukła szkło, on porcelanę, dzieci niszczyły sprzęty. Zaczynało brakować i na kartofle. On katował ją. Ona jego. Dzieci katowały siebie nawzajem i przy okazji dzieci sąsiadów. Nie starczało już zdrowia — musiało starczyć na rozwód.

Przyznajcie — nie było innego wyjścia. Nie dziwcie się sąsiadom, że wystąpili o ich rozwód. Sąd nie miał łatwego wyjścia. O pomyłkę nie było trudno. Sąd przyznał jej dzieci z drugiego małżeństwa jej pierwszego męża, jemu — gromadkę z trzeciego małżeństwa jego pierwszej żony.

Tragiczna to historia — zdarza się ona nieraz w różnych odmianach u przeróżnych rodzin. Niewątpliwie znajdzie się wyjście i z tej sytuacji Bo nic nie może zostać bez wyjaśnienia. Może mąż pijak? Może żona winna? Dziennikarz chciał spełnić swój obowiązek — ale pozwólcie niech najpierw inni przemówią. Dziennikarz na razie ma za złe.

(mir-par.)

dookoła świata

Więcej odwagi

Wrodzona nieśmiałość nie pozwala mi zaprzyjaźnić się z żadną koleżanką, choć mam już 42 lata, trzecią żonę i troje dzieci. W gronie kolegów to jeszcze pół biedy, ale gdy jestem w towarzystwie dziewcząt tracę odwagę, a potem zaraz równowagę i jeszcze długo po straceniu równowagi nie wiem, jak się odezwać. Poradźcie mi, co na to zrobić — zwraca się do nas traktorzysta R. C.

Przede wszystkim radzimy Ci nauczyć się tańczyć według wskazówek Braci Sobiszewskich w naszym tygodniku. Do tańca proś po prostu ukłonem głowy, bez jednego słowa. Wtedy od razu przełamiesz nieśmiałość własną i dziewcząt, które jeszcze napotykasz na drodze swojego życia. A z czasem nauczysz się do nich także odzywać, czego Ci z serca dzielny traktorzysto, życzymy. Pamiętaj odważnym szczęście sprzyja. Napisz o wynikach. Cześć.

NIEDZIELNY DODATEK ILUSTROWANY DO DZIENNIKÓW:

ŻYCIE WARSZAWY

ŻYCIE WARSZAWY
ŻYCIE BIAŁOSTOCKIE
ŻYCIE CZĘSTOCHOWY
ŻYCIE LUBELSKIE
ŻYCIE OLSZTYŃSKIE
ŻYCIE RADOMSKIE

Nr 16 (272) 18 kwietnia 1954

Fot. Zygmunt Wdowiński

Wesołych Świąt!

WARSZAWA ODRODZONA

Oto dwie pary dokumentalnych zdjęć: Muranowa i Mokotowa. Łatwo ustalimy, które z nich zrobiono w 1948, a które w bieżącym roku. I łatwo będzie nam, patrząc na te historyczne fotografie, uzmysłowić sobie raz jeszcze ogrom pracy włożonej w dzieło odbudowy starej i budowy nowej Warszawy. Znajdujemy się jednak dopiero w połowie drogi. Chcemy do reszty usunąć ślady minionej wojny, a jednocześnie doprowadzić do końca nasz plan tworzenia nowego, naprawdę imponującego miasta.

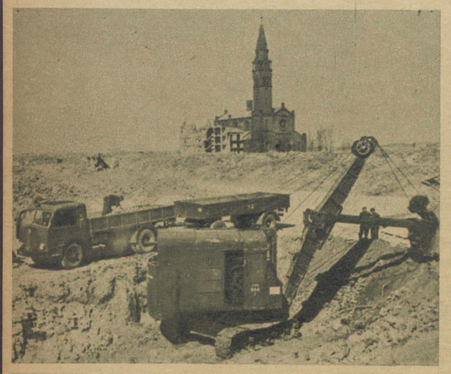

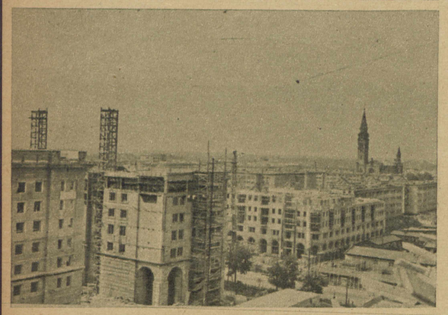

Na przykład Muranów. Wyżej — zdjęcie sprzed 6 lat. Strzelista wieża kościoła wśród pustyni zrównanych do jednego poziomu gruzów. Niżej — obecny widok tej dzielnicy z licznymi nie wykończonymi jeszcze blokami. Za rok, czy dwa i to obecnie najbardziej aktualne zdjęcie przejdzie do lamusa, a z Muranowa znikną ostatnie rusztowania.

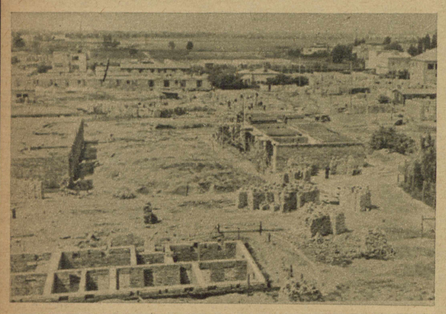

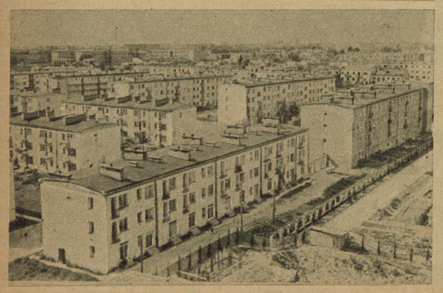

Na Mokotowie było trochę inaczej. Nowe osiedla stawiano na terenach jeszcze nie wykorzystanych. Dlatego i tempo budowy było znacznie szybsze. Dziś istnieje tu kilka kolonii mieszkaniowych. Kilka innych znajduje się w trakcie wznoszenia. Budowa dalszych — objęta jest planem na bieżący rok.

Fot. CAF

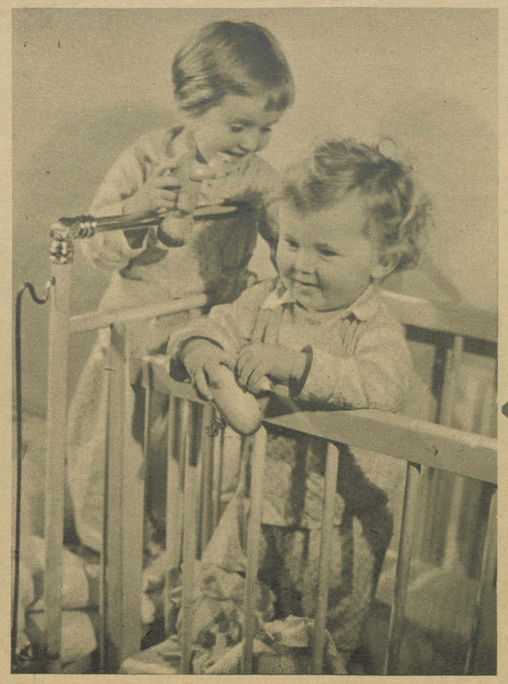

PO-RANEK PEWNEJ PARY

Oto „bohaterowie dnia" — przedstawiamy ich państwu — on, nazywa się Marek i jest najmłodszą pociechą swych rodziców. Ona — Małgosia z obowiązku starszeństwa usiłuje wyręczać matkę w opiece nad braciszkiem. Nazwisko młodej pary? To chyba obojętne — ot, dwie maleńkie istoty spośród setek tysięcy budzących się co rano w miastach i wsiach całej Polski...

Zanim Małgosia złoży poranną wizytę braciszkowi ma do spełnienia „macierzyńskie" obowiązki wobec swej „córy" Kasi — dorodnej lalki. Tu najwidoczniej nic się nie zmieniło od wieczora. Kasia czuje się wyśmienicie, można więc przejść do gospodarskich czynności.

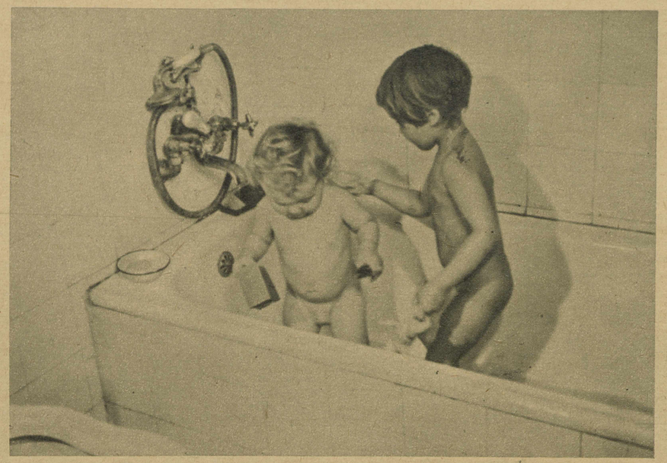

Czy poranne mycie jest przyjemnością? To rzecz problematyczna — zależna od upodobań. Kto z nas nie grymasił kiedyś przy tym obrzędzie. Tu zdaje się wszystko przebiega sprawnie, a Małgosia raz jeszcze wyręczy matkę przy tej zasadniczej czynności.

Och, jak trudno jest radzić sobie z dziećmi! Przy każdym zetknięciu grzebienia z bujną czupryną Marek wrzeszczy jak opętany, nieczuły na dobiegające z sąsiedniego pokoju uspokajające pocieszenia matki. Nic z tego krzyku, Marku! Nie ominie cię tortura grzebienia...

Poranne mycie pójdzie niechybnie na marne. Sprawił to słoik konfitur w rękach małego łakomczucha. Nic już nie przejdzie przez gardło najmłodszego, a „wytworne" ubranko powędruje do balii. Nawet baczne oko Małgosi nie zapobiegło katastrofie.

Nareszcie po porannych kłopotach z grzebieniem i wanną... Ubrany i „wyświeżony" łykając smaczne kąski, Marek obserwuje spod oka zajadającą z apetytem siostrzyczkę. Śniadanie jest smaczne, ale Marek siedzi jak na szpilkach. Gdzieś w kącie czeka pluszowy miś, kusząc oko różnobarwne klocki. A więc po śniadaniu — pora zabawy.

Zdjęcia Tymiński — CAF

CZYN PIERWSZOMAJOWY

Hasło czynu pierwszomajowego odbiło się szerokim echem także wśród budowniczych Pałacu Kultury i Nauki. Jako jedna z pierwszych podjęła zobowiązania młodzieżowa brygada zbrojarzy Wiktora Jakowlewa. Członkowie tej przodującej w bazie sprzętu w Jelonkach brygady postanowili na cześć 1 Maja zwiększyć ilość wyprodukowanych elementów żelaznych o 23 tony, a drogą codziennego kontrolowania śledzić wykonanie tego zobowiązania.

WAF — fot. I. Krzywdziński

Nie pozostali w tyle i budowlani, a m. in. załoga ZBM nr 4 w Warszawie. Ich zobowiązania 1-majowe przyczynią się do oddania kondygnacji w bloku nr 13 na osiedlu Nowy Świat o 7 dni wcześniej niż przewiduje harmonogram. Na zdjęciu: brygada Józefa Gaja, legitymująca się przeciętną normą 178 proc.

CAF — fot. Szyperko

Robotnicy i inżynierowie fabryki maszyn żniwnych w Płocku dobrze zrozumieli zadania postawione przed naszym przemysłem na II Zjeździe PZPR. Obecnie korzystając ze zbliżającego się święta pracy zobowiązali się oni wyprodukować w kwietniu poza normalną miesięczną produkcją 20 żniwiarek, 49 kosiarek ciągnikowych i 10 konnych oraz przygotować części zamienne do jeszcze 20 żniwiarek. Niezależnie od tego załoga FM2 w Płocku ukończy 25 maja br., a więc na 6 dni przed terminem prace przy budowie pierwszego w Polsce prototypu kombajna.

CAF — fot. Tymiński

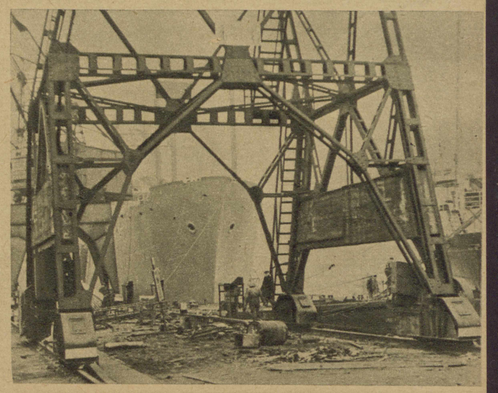

Chyba wszystkie porty świata znają już naszą biało-czerwoną banderę dumnie powiewającą na masztach całkowicie w kraju budowanych statków handlowych. Jest to zasługą m. in. stoczniowców Gdańska i Gdyni, którzy oddają do użytku coraz to nowe jednostki morskie: rudowęglowce, drobnicowce i trawlery. Oto jedna z wykończonych niedawno jednostek na chwilę przed spuszczeniem na wodę w stoczni gdańskiej.

CAF — fot. Kosycarz

JEAN EFFEL GOŚCIEM WARSZAWY

— Autograf? Z przyjemnością... jak widać na zdjęciu — znany karykaturzysta i rysownik francuski Jean Effel ma pełne ręce roboty. Rzecz dzieje się w warszawskim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, gdzie otwarto ostatnio wystawę jego prac. Żywe, pełne swoistego uroku i ciętego dowcipu karykatury i szkice Effela zdobyły sobie ogromną popularność daleko poza granicami Francji. Wszędzie, gdzie tylko dotrą jego rysunki sygnowane „margeritką" — zarówno on sam, jak i idea, w służbie której postawił swój talent — zyskują coraz to nowych przyjaciół.

CAF — fot. Kondracki

Dwa światowe obozy.

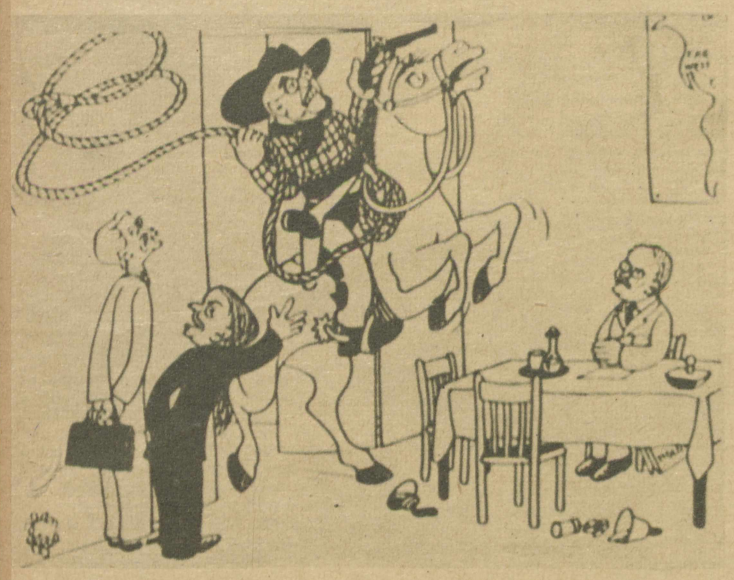

Metody pana Dullesa są dla nas zbyt zachodnie.

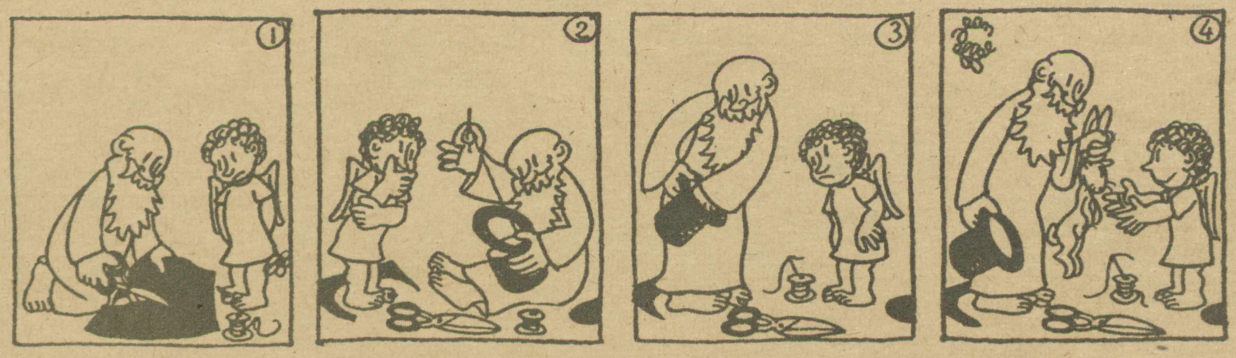

Jak powstał królik.

ZWORONOŻNI PRZYJACIELE

1.

2.

3.

4.

16 KONKURS DODATKU ILUSTROWANEGO

Miłośnicy psów nie będą mieli większych trudności z rozwiązaniem niniejszego konkursu. Należy podać, jakie rasy reprezentują te cztery psiaki.

Rozwiązanie prosimy nadsyłać do dnia 27 kwietnia pod adresem redakcji „Życia Warszawy" z dopiskiem na kopercie „16 Konkurs Dodatku Ilustrowanego". Za trafne rozwiązanie przyznane będą drogą losowania nagrody książkowe.

U w a g a: Rozwiązanie z dnia 4 kwietnia oraz listę nagrodzonych zamieszczamy w dzisiejszym numerze „Życia".

MOD. 1. Mocno dopasowany kostium z jednorzędowym zapięciem. Zaokrąglone przody. Kołnierz i wypustki przy ciętych poziomo kieszeniach, kryte ciemnym welwetem. Guziki w kolorze welwetu. Wąska spódnica. MOD. 2. Efektowna sukienka wiosenna z czarno-białej pepitki. Od ramion biegną wzdłuż stanika i spódnicy dwie czarne wypustki. Takie same lamówki przy krótkich wszytych rękawkach. Biały kołnierzyk „bébé"; zapięcie z przodu na kryty zamek błyskawiczny. Szeroka spódnica z czterech klinów krojonych ze skosu. MOD. 3. Proste wiosenne wdzianko z jasnej wełny. Oryginalny okrągły karczek podwójnie odstebnowany. Mały stojący kołnierzyk, poziomo cięte kieszenie wykończone plisami.

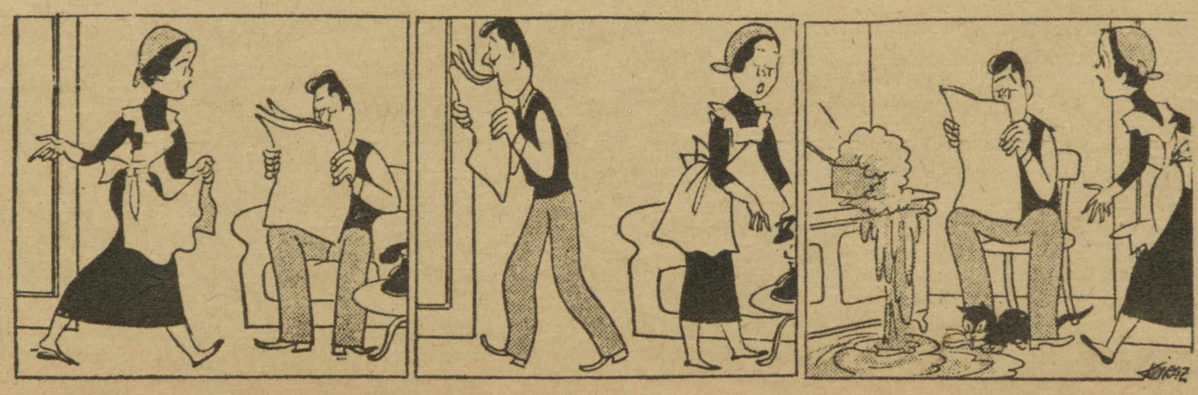

— Bądź tak dobry, przejdź do kuchni i przez chwilę popilnuj mleka...

— ...muszę w ważnej sprawie zadzwonić zaraz do mamy...

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa. Marszałkowska 3/5 5-B-14443